

I miejsce

Janina Jakoniuk
(Białystok)

To nagroda za umiejętność zajmującego opowiadania o sprawach prostych – takich jak przyjaźń czy podróże, ale jednocześnie wplatania tematów, z którymi trudno sobie poradzić, takich jak zdrada, samotność, inna miłość. Bohaterka opowiadania musi mierzyć się w przyszłości z dylematem poradzenia sobie z traumą tego, co zastała we własnym łóżku. Proza napisana intrygująco i niebanalnie, z literackim zacięciem i dobrymi dialogami.

Niespodzianka

Samolot odlatywał przed północą. Miały mało czasu na to aby się spakować i dojechać do lotniska. Na szczęście mąż Beaty, zaferował, że odwiezie je samochodem. Międzynarodowe lotnisko Rzym-Fiumicino im. Leonarda da Vinci było oddalone od miejsca ich zamieszkania o około 30 km. Zważywszy na pośpiech w jakim się obie pakowały, chętnie skorzystały z jego propozycji.

Joanna przyleciała do Rzymu na zaproszenie Beaty, która mieszkała tu już od paru lat. Wyszła za mąż za Włocha, uroczego Roberto i zamieszkała początkowo z jego rodziną, a od roku wynajmowali oddzielne mieszkanie na Via della Monti. Beata była malarką, ale, że z malarstwa nie da się wyżyć, nawet we

Włoszech, pracowała na pełnym etacie w szkole jako nauczycielka rysunku. Roberto był informatykiem więc powodziło im się na tyle dobrze, że mogła zaprosić Joannę. Joanna bardzo się cieszyła z tego przyjazdu i wiele sobie po nim obiecywała. Przez cały tydzień włóczyły się z Beatą po wiecznym mieście, oglądały zabytki, muzea, wystawy malarskie. W przerwach zjadały coś w przytulnych restauracyjkach, piły wino i rozmawiały, rozmawiały, rozmawiały. Czasami dołączał do nich Roberto i w trójkę świetnie się bawili. Niestety, wczoraj Beata odebrała telefon od siostry z Warszawy i wszystko się skończyło. Jej młodsza siostra dzwoniła z informacją, że ich mama miała atak serca i jest w szpitalu. Beata po rozmowie z Roberto natychmiast postanowiła lecieć. Kłopot zrobił się natomiast z gościem. Wprawdzie obydwójce proponowali Joannie pozostanie, a nawet Roberto oferował, że weźmie parę dni wolnego i będzie służył za przewodnika, ale Joanna odmówiła. Beacie powiedziała szczerze, że nie zostanie z jej mężem sama, bo „nie chce kusić licha”. W związku z tym musiała przebukować bilet powrotny. I tu okazało się, że nie jest to wcale takie proste. Na szczęście Roberto dokonał cudu. Udało mu się nie tylko zakupić bilet Beacie na następny dzień, ale także zmienić termin powrotu Joanny na ten sam dzień, co bilet Beaty. Leciały więc do Warszawy obie.

Na lotnisku Joanna zaopatrzyła się w upominki siostrze i siostrzenicy. Swemu partnerowi Zbyszkowi, kupiła prezent już wcześniej, piękny pulower. Kosztował dużo, ale był bardzo elegancki. Siostrze kupiła perfumy, a Zuzi, siostrzenicy, śliczną sukieneczkę.

Po odprawie paszportowej i kontroli bagażu przyjaciółki odnalazły swoją bramkę i mając jeszcze prawie godzinę do wej-

ścia na pokład, postanowiły wypić kawę i coś przekąsić przed lotem.

– W Warszawie będziemy grubo po północy – odezwała się Beata, pałaszując sałatkę jarzynową.

– Czy Zbyszek po ciebie wyjedzie na lotnisko?

– Och, nie będę go obciążać tym problemem. Wezmę taksówkę. On tak ciężko pracuje, rano musi iść do pracy... niech śpi. Zresztą nie zadzwoniłam do niego i nie poinformowałam, że wracam wcześniej. Miałam to zrobić teraz, ale chyba się rozmyśliłam. Zrobię mu niespodziankę!

– No, no! – zaśmiała się Beata.

– A wiesz, ja mam jeszcze jedną niespodziankę dla Zbyszka. Powiem ci, bo nie mogłabym wytrzymać, żeby się z tobą tą sensacją nie podzielić. Jakoś w domu przy Roberto i w tym zamieszaniu z pakowaniem nie było okazji...

– Łał! Zamieniam się w słuch! – Beata przerwała jedzenie i czekała.

– Wiesz, jakoś ostatnio opóźniał mi się okres...

– Oho! Dawaj dalej!

– No i przedwczoraj wstąpiłam do apteki. Kupiłam testy...

– Nie gadaj! I co? Jesteś??? – Beata z wrażenia aż wstała z krzesła.

– No właśnie... jestem.

– O ja cię! Joaśka! Będziesz mamą! Ale , ale, a co z tatusiem? Nie pytam, czy to Zbyszek, bo na pewno! Ale przecież nie macie ślubu!

– Myślę, że to nie będzie problemem. Dotychczas nie nalegałam na zalegalizowanie związku, bo było mi tak dobrze, ale teraz trzeba będzie to zmienić. Chyba.

– I co? Nie dzwonisz do ojca swego dziecka?

– Myślę, że tę nowinę lepiej będzie powiedzieć osobiście. Przypuszczam, że się ucieszysz, no bo swoje lata już mamy, to kiedy jak nie teraz? A i jakaś stabilizacja już jest...

– Super! Ale nowina! Nie zapomnij zaprosić mnie na matkę chrzestną!

Joanna obiecała Beacie, że oczywiście, będzie matką chrzestną i obie pogрузyły się w rozmowie. Tymczasem zaczęto przyjmować pasażerów na pokład samolotu. Niestety, miejsca miały daleko od siebie, nie mogły więc kontynuować swojej rozmowy. Całą podróż rozmyślała jak to zaskoczy Zbyszka, kiedy mu powie i jak on zareaguje na tę rewelację. Byli ze sobą już ponad rok. Najpierw tylko się przyjaźnili. Poznali się na jakiejś imprezie u jej znajomych. Impreza była drętwa i Joanna nudziła się, dopóki nie przysiadł się do niej Zbyszek. Okazało się, że mają podobne zainteresowania, podobne poglądy i bardzo ciekawie im się rozmawiało. Po imprezie, zachował się jak dżentelmen i odwiózł taksówką do domu. Wymienili się telefonami. Na drugi dzień zadzwonił, aby się dowiedzieć, czy wszystko jest ok. Podobało jej się, że jest taki opiekuńczy i zaprosiła go na kawę do swego domu. Przyszedł z kwiatami. To też jej się spodobało. Ale pomimo ciekawie prowadzonych rozmów, nie zauważyła, aby ją „podrywał”. Po prostu fajnie się rozmawiało. Umawiali się najpierw dość rzadko. Wolał spotykać się w jej mieszkaniu, a ona nie miała nic przeciwko temu. Zawsze też przygotowywała coś smacznego do przegryzienia. Czasami przynosił wino, ale zawsze był „taki dobrze ułożony”. Nie wykorzystywał sytuacji i nie starał się zaciągnąć jej do łóżka. Nawet to ją trochę dziwiło.

– Widocznie nie za bardzo mu się podobam – myślała. A on

podobał jej się coraz bardziej. Z biegiem czasu bardziej się do siebie zbliżyli. Kilka razy pozostał u niej na noc, a od paru miesięcy przeprowadził się do niej i mieszkali już razem. Był trochę dziwny, ale tłumaczyła to sobie jego nieśmiałością. Nigdy przez ten okres się nie kłócili. Nawet przedstawiła go swoim rodzicom, co wywołało u niego zażenowanie. Ojciec Joanny, czynny zawodowo nadinspektor policji, nie byłby ojcem, gdyby nie zasięgnął od razu informacji o „człowieku”. Ale nie znalazł nic, co byłoby podejrzane i zagrażałoby córce. Bardzo jej się też podobało, że Zbyszek nie zwraca uwagi na jej koleżanki, które robiły do niego słodkie miny. Koleżanki zazdrościły, że taki przystojny i „nie do ugryzienia”, a ona pęczniała z dumy. A teraz układała sobie w głowie, jak to będzie: praca, ciąża no i ślub. Ani się obejrzała, kiedy podano komunikat, że samolot podchodził do lądowania. Spojrzała na zegarek. Była godzina druga piętnaście, a jeszcze przejście przez kontrolę paszportową, odbiór bagażu... więc jeśli uda jej się dotrzeć do domu będzie pewnie koło czwartej.

Po załatwieniu wszystkich tych spraw, dziewczyny pożegnały się czule, obiecując sobie, że będą w kontakcie i udały się każda w swoją stronę. Po Beatę przyjechał szwagier i czekał już na nią w sali przylotów. Proponował Joannie podwiezienie, ale ona podziękowała, nie chcąc robić kłopotu i poszła na postój taxi.

Taksówka podjechała niemal pod same drzwi jej bloku. Taksówkarz był miły i wniósł jej bagaż aż do windy. Mieszkała na drugim piętrze. Cichutko, żeby nie zbudzić Zbyszka otworzyła kluczem drzwi i zapaliła boczne światło w przedpokoju. Postawiła walizę pod ścianą i zdziwiła się widząc na wieszaku jakąś obcą kurtkę i dodatkową parę męskich butów. – Czyżbyśmy mieli gościa? – pomyślała i ostrożnie uchyliła drzwi do sypialni.

To co zobaczyła, zupełnie ją zamurowało. W jej łóżku spał Zbyszek, a przytulona do niego jakaś druga osoba. Nie wiedziała co ma zrobić? Stała i patrzyła. W głowie jak błyskawice kłębiły się myśli. – No nie! Nie daruję mu tego! – Weszła energicznie do sypialni, zapaliła światło i zawołała:

– Zbyszek! Co to ma znaczyć? Jak mogłeś!!! – Zbyszek otworzył oczy, ale zaraz zamknął, bo raziło go światło, natomiast tą drugą osobą okazał się na oko dwudziestoparoletni mężczyzna, który usiadł na łóżku i zawołał:

– Zibi! Co jest grane? Co to za baba? I skąd się tu wzięła?

Joannę jakby ktoś dźgnął szpikulcem w serce.

– To moje mieszkanie! Wynoście się stąd! Natychmiast! Obaj! Daję wam 5 minut na ubranie się!

– A potem co zrobisz, paniuńciu? – bezczelnie odezwał się obcy. Zbyszek, jakby do niego dopiero dotarło co się stało, usiadł na łóżku i zdziwiony patrzył na Joannę. Po chwili, chyba oprzytomniał, bo się odezwał skruszonym głosem:

– Aśku, ja ci to wszystko wytłumaczę... uspokój się tylko.

– Co to za jedna? – pytał obcy.

– To moja dziewczyna... niestety.

– Co takiego? Dziewczyna? W co ty pogrywasz stary?

– Pięć minut! – krzyknęła Joanna i wyszła do kuchni. Wyciągnęła komórkę i zadzwoniła do ojca. Odebrał dość szybko, widocznie już nie spał.

– Tato! Przepraszam, że cię budzę, ale w moim mieszkaniu jest dwóch facetów i to gołych. Przyjedź, proszę, bo nie wiem czy dam sobie radę...

– Joanna? A to ty już wróciłaś? Co za faceci? A gdzie Zbyszek?

– Właśnie Zbyszek i jakiś drugi.

– Zaraz tam kogoś poślę i sam też przyjadę, spokojnie Malutka.

Ojciec rozłączył się, a Joanna stała w tej kuchni w płaszczu i z rozdartym sercem, nie wiedząc co ma dalej zrobić. Panowie tymczasem szukając swojej garderoby klócili się szeptem. Zdecydowała, że nie zechce już więcej widzieć Zbyszka. Weszła do przedpokoju, zdjęła z wieszaka klucze do mieszkania swoje i te, z których on dotychczas korzystał i wsunęła je do kieszeni płaszcza. Zbyszek tymczasem już ubrany próbował nawiązać z nią rozmowę.

– Asiu, ja wiem, że jesteś na mnie zła, chciałem ci o tym powiedzieć, ale jakoś nie mogłem...

– Zejdź mi z oczu! Brzydę się tobą! Nie może mi się w głowie pomieścić, że byłam taka ślepa!!! Wynoście się!

– Ale gdzie ja mam iść w nocy...? dlaczego nie zadzwoniłaś, że wracasz...?

Joannę wzięła taka złość, że jeszcze ją obwinia, że chwyciła stojącą na stole szklankę i cisnęła nią w Zbyszka. Ten uchylił się i szklanka rozprysła się na podłodze.

– Ty draniu! Ty kłamco! Ty...! – zabrakło jej słów. Na szczęście ciszę nocną przerwał sygnał samochodu policyjnego. Po paru minutach rozległo się stukanie do drzwi. Zbyszek i jego partner zdębieli, przy czym ten drugi okazał się bardziej rezolutny.

– Zibi!? Kto tam jeszcze?- ale Joanna już otworzyła drzwi i do mieszkania wpadło czterech zamaskowanych policjantów. O nic nie pytając, błyskawicznie założyli delikwentom kajdanki i siłą wypchnęli z mieszkania. Zbyszek nie odezwał się ani słowem, za to jego kolega szarpał się i wyzywał Joannę i wszystkich pozostałych. W tym momencie wszedł do mieszkania ojciec. Ogarnął

spojrzeniem mieszkanie i Joannę, której dopiero teraz „puścili nerwy” i odezwał się do policjantów:

– Wsadzcie ich na razie do aresztu, zaraz tam przyjadę. – A do Zbyszka rzucił wrogo:

– A z tobą to sobie porozmawiamy!

Zbyszek skulił się jak zbity pies. Jego kolega natomiast próbował się bronić krzycząc, że oni są niewinni, nic nie zrobili... itp. Policjanci wyprowadzili aresztowanych do samochodu, a ojciec zajął się płaczącą Joanną.

– Cicho córuniu! Ciii... opowiedz mi teraz wszystko po kolei. – podsunął Joannie krzesło. Sam również usiadł. Joanna nie mogła się opanować. Płakała, a on głaskał ją po głowie i czekał.

– Mam nadzieję, że nic ci złego nie zrobili? – zapytał widząc, że córka jest jeszcze w płaszczu.

– Och! Tato! Jak on mógł? A ja mu tak wierzyłam... i byłam taka szczęśliwa... – Joanna na nowo zaniósła się płaczem.

– No ale ja muszę mieć jakieś podstawy do aresztowania... rozumiesz chyba. Zdrada, to za mało...

– Za mało? To powiem ci więcej tato! Ja jestem z tym.... w ciąży... to co ja mam teraz zrobić...?

– O! k...! No to ładny pasztet! – zawołał. – Dobra. Ty odpocznij, prześpij się, a ja sobie „pogadam z zięciem”.

– Chyba nie zasnę, zresztą gdzie? W tym samym łóżku? Och! Tato! Jaka ja byłam głupia, że nic nie zauważyłam wcześniej...

– Nie martw się! Coś wymyślimy!- Ojciec wstał, pocałował ją w czubek głowy i wyszedł.

Joanna zdjęła w końcu płaszcz i usiadła w fotelu. Nie miała siły aby cokolwiek zrobić. W tym momencie zadzwonił nastawiony przez Zbyszka budzik. To ją trochę otrzeźwiło.

– Co za pech! I co ja teraz mam począć z tą „niespodzianką”?
A gdyby nie ojciec? Co byłoby dalej? Jak poradziłabym sobie
z tą „parą”? Aż boję się o tym myśleć! Dobrze, że mam oparcie
w ojcu. Jakoś dam sobie radę... Ludzie mają gorsze nieszczęścia...
– pomyślała i rozplakała się na nowo.

II miejsce

Krzysztof Broda

(Białystok)

Za odważne poruszanie trudnej tematyki, skupianie się na detalach życia, które niszczą bądź budują egzystencję. Za umiejętne opisywanie świata z perspektywy „zbieracza śmietnikowego” jak i fanatyka muzyki. Dobre piarstwo włada czytelnikiem, który kończąc lekturę – żałuje, że musi rozstać się z bohaterami i z pisarzem. W tym przypadku – bardzo chce się wiedzieć, co było dalej. Gratulujemy i niecierpliwie czekamy na więcej!

Codziennosc

Szedł chodnikiem wzdłuż bloku, w którym mieszkał. Szedł dobrze znaną sobie drogą do miejsca, które wzbudzało w nim odragę. Szedł do śmietnika – miejsca, gdzie znajdował mnóstwo niepotrzebnych już nikomu rzeczy, a które dla niego stawały się często bardzo cenne. Już dawno przestał czuć do siebie pogardę za to, co robił. Grzebanie w pojemnikach traktował jako źródło drobnego dochodu, jako uzupełnienie niezwykle skromnego budżetu domowego. Często spotykał takich samych, jak on „śmietnikowych zbieraczy”. Nigdy z nikim nie zagadał, nie pytał jak leci, choć miał świadomość, że każdy z nich skrywa jakąś tajemnicę, ma jakąś swoją opowieść, jakąś historię, czasami

tragedię. Nie chciał jej poznawać, chciał być i być sam.

„Gdzieś obok...”

Dziś ponownie szedł do biura, w którym przepracował tyle lat. Nie był tu już parę miesięcy. Przestał tu pracować, od kiedy lekarz stwierdził, że traci wzrok w lewym oku za przyczyną chorego nerwu wzrokowego, co kwalifikowało go do renty inwalidzkiej. Ubrał się odświętnie, w rękach niósł nieodłączną skórzaną teczkę, a w niej drugie śniadanie. Był wściekły, nie znosił takich imprez, ale wiedział, że czekają na niego. Dostał kwiaty, kubek z przykrywką i śmieszny zegar z kukułką, który miał odmierzać mu nowy, inny czas. Obdarzyli go też mnóstwem nic nieznaczących, kurtuazyjnych słów i garścią wymyślnych życzeń.

Wychodząc na ulicę poczuł się bardzo zmęczony i samotny. Zrezygnował z autobusu, postanowił iść piechotą. Przecież nigdzie się już nie spieszył. Mijał znajome miejsca i nieznanymi ludźmi. Wszyscy, których kochał, znał, którzy byli mu bliscy, znikali z jego życia, jak śnieg znika pod wpływem pierwszych wiosennych promieni słońca. Szedł przed siebie, nie wiedząc po co, dokąd i co spotka u celu...

„Nadzieja”

I znów się spóźniał. Oczekiwanie na znajomy samochód, którym jak co miesiąc przyjeżdżała renta. Pieniądze, które dawały mu odrobinę normalności w jego życiu. Renta nie była wysoka. Po zrobieniu opłat i wykupieniu leków zostawało nie więcej niż

600 złotych na życie. Nagle u wylotu ulicy ujrzał znajome auto. Listonosz był jedynym człowiekiem, z którym co miesiąc zamieniał kilka zdań. – Przepraszam za spóźnienie, samochód mi nie chciał odpalić, stary już – rzekł listonosz na powitanie, sięgając do torby. – Dziś 1126 złotych panie Marku, była podwyżka, 21 złotych miesięcznie z wyrównaniem od września – dorzucił, odliczając pieniądze.

– No to poszaleję – odrzekł z gorzkim uśmiechem, chowając starannie banknoty. – Dzięki i do zobaczenia za miesiąc – rzekł, podając dłoń na pożegnanie. Czując uścisk męskiej ręki i słysząc przyjacielskie: „Do zobaczenia panie Marku, niech się pan trzyma!”, poczuł ukłucie żalu, że... Tak dawno nie słyszał swojego imienia, wypowiedanego przez kogoś. Teraz wróci do zimnego, pustego mieszkania, w którym nikt na niego nie czeka.

„*Samotność*”

Nigdy nie znosił pogrzebów. Żartował nawet, że na swój też się nie wybiera. Nie cierpiał słuchać tych słów o zmarłym, tych śpiewów i modlitw, tych wszystkich ludzi poubieranych na czarno, którzy przyszli na cmentarz często z ciekawości, a ich rozpacz jest wyłącznie na pokaz.

Dziś żegnał Marię – swoją ukochaną żonę. Kobietę swojego życia, z którą przeżył tyle szczęśliwych lat. Ostatnich dwanaście była przykuta chorobą do łóżka, cierpiąca i obolała. Jej śmierć przyniosła im ulgę – jej w cierpieniu, jemu w trosce o nią. Szedł za trumną, rozmyślając o swojej przyszłości, o tym, jak teraz będzie

wyglądał jego świat, jak da sobie radę bez Niej? Dziś został sam jak palec.

„Nikt, czy ktoś?”

– Cześć Marek, czy to ty? – usłyszał nagle. Wcisnął głowę w poły zniszczonej kurtki, chcąc się zapaść pod ziemię. Był ubrany jak co dzień, idąc do „swojej pracy” – postrzępione dżinsy, poplamiona kurtka i czapka z pomponem. Pachniał starym, skwaśniałym, ciekącym ze starych puszek piwem. – Cześć stary – wydusił z siebie, poznając kumpla sprzed wielu lat. – Marek, co porabiasz? Jak ci leci? – rzucił, zciekawiony wyglądem kumpla. – Ano żyję jakoś... Jestem na rencie. Trochę dorabiam tu i tam – odpowiedział, nie mogąc ukryć zakłopotania. – Może walniemy po piwku? Ty, co tak wyglądasz, jakbyś wyszedł ze śmietnika? – spytał ponownie, taksując ubiór spotkanego. – Nie piję od lat – cukrzyca. Trochę śmierzę i tak wyglądam, bo grzebię w śmieciach, muszę z czegoś żyć. – Żartujesz? No tak... Może w czymś ci pomóc? – spytał niepewnie, nie oczekując odpowiedzi. – Dobra, to na razie. Jakby co, to dawaj znać – dorzucił pośpiesznie i nie podając dłoni odszedł. Ktoś...

„Dylemat”

Jak co rano wyruszył na „obchód” znaną trasą – od śmietnika do śmietnika, koło ławek, gdzie wieczorami odbywają się młodzieżowe spotkania przy piwku. Gdy miał dobry dzień, zbierał około 100 puszek, co dawało jakieś 15 – 16 złotych zarobku. Pieniądze te wydawał na wzbogacenie dziennej racji żywności.

Najczęściej była to przeceniona wędlina i owoce (uwielbiał te zupełnie brązowe banany).

Pogoda była „pod zdechłym Azorkiem” – zimno i siąpił drobny deszczyk, a przecież był dopiero koniec września. Zebrał już prawie pół torby na kółkach puszek. – Będzie dzisiaj niezły zbiór – pomyślał. Wśród śmieci dostrzegł czarną reklamówkę z krzykliwym zagranicznym napisem, wykonanym w jaskrawych kolorach. Leżała przysypana resztkami jedzenia i strzępkami jakiegoś ilustrowanego pisma. Wyciągnął ją przy pomocy swojego „pogrzebacza” (jego własny wynalazek, żeby nie trzeba było „nurkować” do pojemnika). Była dość ciężka. Zajrzał do środka i oniemiał z wrażenia. W środku było kilka paczek sklejonych taśmą banknotów stu- i dwustuzłotowych! Na oko było tego kilkanaście paczek. – O Jezu! – jęknął. Zamknął oczy i znów otworzył. – To musi być jakiś cholerny majątek! – pomyślał i rozejrzał się niepewnie wokoło. Nic się wyjątkowego nie działo. Przejechał jakiś samochód, ktoś prowadził dziecko do pobliskiego przedszkola, grupka chłopaków spieszyła się, zapewne spóźniona do szkoły, nic niezwykłego. Wrzucił reklamówkę do torby. Sięgnął do kieszeni kurtki, gdzie w papierośnicy, która była prezentem od żony, schował na specjalne okazje kilka papierosów (nałóg pozostał, jak wspomnienie dawnych czasów i dowód, że stać go jeszcze na drobne szaleństwo). Zapalił. Zaciągnął się ostrym dymem papierosowym, którego kłęby wypuścił przez nos. Głęboko się zamyślił...

Kompletnie nie wiedział co ma zrobić. Odnieść na policję, ukryć znalezisko, a może dać ogłoszenie? Pieniądze kusily, ale rozsądek nakazywał co innego. Szedł wolno w stronę domu,

ciągnąc wózek z dzisiejszym „urobkiem”, który wydawał mu się jakoś szczególnie ciężki. Nagle przystanął. Sięgnął znów po papierosa. Zaciągnął się dymem i z ulgą stwierdził, że już wie, co ma zrobić. Już wiedział...

Strych

Jest w naszym mieście miejsce niezwykle, o którym marzy jeden meloman. Zwykły strych w zabytkowym domu na jednej z głównych ulic, na który ktoś zakochany w muzyce przeniósł kawałek muzycznego Chicago. To miejsce jawi się jako prawdziwy bluesowy pub.

Przed wejściem szylt – fruująca gitara, która intryguje i zachęca do wejścia. Już za progiem ogarnia przybysza wszechobecna muzyka – monotonny puls czarnego bluesa, ostre dźwięki metalowego rocka lub spokojne, ciepłe folkowe frazy. Idąc krętymi schodami na piętro mija się ściany pokryte plakatami zapowiadającymi przyszłe koncerty. Strych wita przytulnym mrokiem, lekko rozświetlanym nastrojową grą świateł. Z boku sownicie zaopatrzonej bar, zdobny w najprawdziwsze gitary i przeróżne inne instrumenty.

Na ścianach, jak w galerii obrazów, wiszą portrety muzyków, największych z wielkich. Wśród plejady gwiazd można znaleźć zdjęcia genialnego mańkuta Jimiego, zamordowanego przez fanatyka beatlesa Johna, wirtuoza gitary Joe Bonamassy, Slowhand Erica, ojca polskiego bluesa Tadeusza Nalepy, czy wreszcie białostockiej legendy „Skiby” Skibińskiego, a także wielu, wielu innych dawnych i współczesnych mistrzów. Obok sław

zdjęcia i autografy znanych, mniej znanych i zupełnie nieznan-nych gości, którzy występowali na malutkiej, klubowej scenie.

Siedział, jak zahipnotyzowany. Nigdy nie sądził, że z elektrycznej gitary można wydobyć tak niesamowite dźwięki. Instrument w rękach artysty „malował” kolejne obrazy i muzyczne pejzaże. Jej brzmienie, raz rzewne pełne nostalgii i zadumy, za chwilę zmieniło się w chichot ucieśzny i radosny, by po chwili znów popaść w nastrój uroczysty i pompatyczny. Ale na scenie stał przecież absolutny mistrz i niezwykły wirtuoz! Kolejne frazy budowały się w cudowny nastrój utworu. Gitara najpierw zabrzmiała jak harfa swym śpiewnym, głębokim tonem, by za chwilę strzelać ostrymi, przesywającymi dźwiękami, na podobieństwo kul karabinowych. Finał koncertu, to cudowna melodia zbudowana na kilku prostych akordach i rytmie pulsującym jak serce, gasnącym stopniowo, jak światła na scenie...

Z odrętwienia wyrwała go burza oklasków i niezwykły, wręcz historyczny aplauz publiczności. Ludzie gwizdali, krzyczeli, bili brawo, tupali nogami, uderzali dłońmi w oparcia siedzeń – wybuchło istne piekielne szaleństwo.

– Muszę kiedyś tak zagrać, muszę, muszę – składał sobie w myślach deklarację, bijąc brawo tak mocno, że aż dłonie stały się czerwone i piekły jak poparzone.

Wyszedł z koncertu jak zahipnotyzowany. Od tej chwili o niczym innym nie potrafił myśleć ani o niczym innym marzyć...

Siedział wciśnięty w najciemniejszy kąt. Zamówił piwo, choć wcale nie miał na nie ochoty. Chciał powstrzymać drżenie dłoni. Miał nadzieję, że zimna szklanka da ukojenie. Siedział samotny i czuł się bardzo samotny... Nikt nie zwracał na niego żadnej uwagi. Rozbawiony, lekko podchmielony tłumek kłębił się wokół baru.

Swój skarb zamknięty w czarnym futerale postawił koło krzesła. Nie spuszczał z niego wzroku. W pubie panował radosny gwar wyczekujących na dzisiejsze jam session, czyli wspólne, radosne muzykowanie wszystkich chętnych i potrafiących zagrać na jakimkolwiek instrumencie. On też cierpliwie czekał na chwilę, o której marzył od lat.

– Może to będzie dzisiaj? – jego głowę świdrowała ta natrętna myśl.

Pociągnął łyk piwa. Było gorzkawe i lekko kwaśne. Na niewielkiej klubowej scenie rozpoczęło się bluesowe jam session. Zespół, który rozpoczął muzyczną zabawę zapraszał kolejnych muzyków do wspólnego muzykowania.

Nagle zabrzmiało cudowne „Rock my baby”. Gitarzysta grał motyw przewodni z dużą biegłością i bluesowym luzem. Poszczególne frazy przeboju spletał z cudownie falującym rytmem utworu, co doprowadziło do „rozkołysania” słuchaczy. Ci szybko podchwycili proste słowa i cudowna muzyczna zabawa trwała w nieskończoność, przy akompaniamencie bluesowych improwizacji. Utwór zakończył się aplauzem i radosnym entuzjazmem słuchaczy. On zaś słuchał i patrzył zachwycony i sparaliżowany tym, co widział i słyszał. Czekał na swoją chwilę, na

swoje pięć minut, o czym marzył od wielu dni. Słuchał i czekał...

...i nareszcie przyszedł ten dzień – 18 urodziny! Czuł się dorosły, czuł, że cały świat leży u jego stóp. Nareszcie będzie mógł wszystko...

Przy stole siedziała cała rodzina. Brakowało tylko stryjka, ale on zawsze się spóźniał, nawet na Wigilię, śluby czy pogrzeby. Na niego czekał najbardziej. Brat ojca, będąc bezdzietnym kawalerem darzył go prawdziwą miłością i przyjaźnią. Co roku dostawał od niego niezwykle prezenty. Raz był to prawdziwy indiański łuk ze strzałami, przywieziony przez znajomego z USA, innym razem klatka z chomikiem, czy prawdziwa kolarska wyścigówka.

– Co wymyśli tym razem? – myślał, pochłaniając kolejny kawałek urodzinowego tortu. Z zadumy wyrwał go dzwonek do drzwi. W przedpokoju prawie zderzył się z gościem, który trzymał pod pachą wielkie tekturowe pudło, starannie zawinięte w kolorowy papier.

– Słyszałem, że w tym domu jest jakiś solenizant, który z dzieciaka staje się mężczyzną -zażartował zdejmując kurtkę. – W dodatku podobno nieźle radzi sobie z grą na gitarze. Czy to aby prawda?

– To chyba o mnie chodzi wujaszku! – odrzekł zaciekawiony pakunkiem.

– Jeśli tak, to proszę. Coś, co powinno ucieszyć przyszłą roczną gwiazdę – rzekł z uśmiechem, wręczając mu pudło.

Nerwowo rozerwał papier, uchylił wieko. W pudełku leżała nowiutka, biała –czerwona, najprawdziwsza gitara Fender Stratocaster Plus Deluxe. Instrument, o jakim marzył od lat!

Drżącymi rękoma sięgnął po instrument. Nie mogąc wydusić z siebie słowa podziękii, wziął gitarę i zagrał dobrze znany mu motyw utworu, który tak bardzo zmienił jego życie. Po policzku spłynęła mu łza radości...

Przez moment zapomniał, gdzie jest. Kolejne solo perkusisty przywróciło mu świadomość. Niezwykle szybkie tremolo werblowe przykuwało uwagę słuchaczy, którzy właśnie pojawili się na sali. Przybyło też kilkoro nowych słuchaczy. Zaczęło się robić trochę tłoczno. Narastał gwar rozmów, a nad nim dominował dźwięk bluesowych fraz.

Nagle... Nie miał wątpliwości, że to TEN właśnie utwór! To była chwila, na którą czekał cierpliwie tak wiele minut. Sięgnął po futerał. Trzasnęły zamki i delikatnie, z jakąś niezwykłą miłością i pieśczością sięgnął po swój czerwono-biały instrument. Zarzucił pasek na ramię i ruszył ku scenie. Nie musiał się preciskać, gdyż każdy nowy, biorący udział w jam session muzyk budził zainteresowanie i ciekawość słuchaczy. Natychmiast utworzyli oni ścieżkę do przejścia. Dotarłszy do sceny ujrzał przyjazne i zapraszające gesty muzyków. Zespół przerwał na moment grę, dając czas na podłączenie nowego instrumentu. Chwila na trzy próbne akordy i kiwnął głową, że jest gotów.

Usłyszał odgłos pałeczek perkusisty, który nabił rytm i tempo utworu. Zagrał pierwsze dźwięki. Najpierw trochę bojaźliwie i ostrożnie. Z każdą kolejną frazą swobodniej i z niezwykłą precyzją. Jego Fender cudownie „zaśpiewał” motyw przewodni znanego utworu. Słuchacze zamarli z wrażenia. Niejednemu wydało się, że Mistrz wstał z grobu i zaszczyił wszystkich swą obecno-

ścią. On dalej grał, jak natchniony. Środkowa część utworu, to ponad pięciominutowa improwizacja, którą budował w sposób zachwycający. Każda nuta była starannie wypieszczona. Jego palce z dużą prędkością i niezwykłą precyzją wędrowały po gryfie. Słuchacze mieli wrażenie, że za chwilę rozżarzone struny zaczną dymić. Dobrnął do końca. W czasie gdy brzmiał ostatni akord, otarł pot, który zalewał mu twarz.

Na sali zapanowała tak niespotykana w tym miejscu cisza, którą nagle przerwał trzask wyłącznika gitary. Jego gitary. Ruszył do stolika. I nagle – wybuch entuzjazmu zgromadzonych słuchaczy. Cały strych zadrżał. Ludzie bili brawo, coś krzyczeli podnieceni, tupali... W pewnym momencie chaos wrzasku przerodził się w jednostajne i rytmiczne: „Je-szcze-jeden! Je-szcze-jeden!”

On nie zwracał już na to uwagi. Był rozgrzany, spocony, zmęczony i niezwykle szczęśliwy. Dla tej jednej chwili warto było mozolnie ćwiczyć aż do krwi, aż do bólu opuszków palców. Wrócił do stolika. Zapakował swój skarb i wśród entuzjazmu, ale i zdziwienia, niezatrzymywany przez nikogo wyszedł na ulicę. Owiał go ożywczy, wieczorny chłód. Roztrącił grupkę palaczy stojących pod fruującą gitarą-szyldem i poszedł przed siebie, otulony mrokiem nocy. Miasto zapadało w sen...

III miejsce

Jadwiga Zgliszewska
(Białystok)

Historia inspirowana prawdziwymi zdarzeniami i bohaterką, która istniała naprawdę. Nagradzamy za umiejętność spojrzenia z dystansu na sprawę burzliwego życia Klary, psychologicznego wytłumaczenia jej romansów, a przede wszystkim, że autorce udało się także zrobić z tej historii literacką opowieść z przesłaniem, że zawsze jesteśmy obserwowani przez innych ludzi.

Kukułka (Historia prawdziwa)

Była przeciętnym wiejskim dzieckiem, nie wyróżniającym się niczym spośród grona rówieśników. Drobna blondyneczka o chłopięcej fryzurze z grzywką, w granatowym fartuszkach z białym kołnierzykiem, jak i pozostali uczniowie. Nauka szła jej opornie. Zdaje się, że w podstawówce repetowała jedną czy nawet dwie klasy. Żyli z rodziną w wydzielonej, dobudowanej części chałupki krytej słomianą strzechą – jeden pokój dla rodziców i dwójki dzieci, jej i brata. Młodsza siostra urodziła się wtedy, gdy już zamieszkali w nowym domu, niespełna dekadę później.

Nadali jej rzadkie i trochę ekstrawaganckie imię: Klara. Niektórzy we wsi nigdy o takim nawet nie słyszeli. Wkrótce – nie

wiedzieć czemu – stało się ono synonimem nie tyle dla dziewczynki, co dla... jej matki! Ta rzeczywiście wyróżniała się z okolicznego tłumu. Błyskotki, apaszki, wisioriki i korale, kapelusiki, falbanki i feeria barw. Eleganckie buciki zawsze na najwyższym obcasie, nienaturalnie wyprostowana sylwetka i buńczucznie podniesiona głowa z trwałą ondulacją. Odnosiło się wrażenie, że ta kobietka o niewielkim wzroście ma o sobie nadmierne wysokie mniemanie. Jak i lekką pogardę dla młodych kobiet, swoich rówieśnic, w szaro-burych płaszczach, pantoflach na płaskiej podeszwie i chustkach na głowach. One wszystkie jak spod matrycy, a jedynie ona taka krucha, w barwne piórka przebrana i przyciągająca uwagę. A że ogół nie lubi inności, bardzo szybko stała się obiektem kpinek, ironii, niewybrednych żarcików, ploteczek. I... faktyczną nosicielką imienia swojej pierworodnej córeczki, przysposobionego w sposób zupełnie niezamierzony. Bo to odtąd matkę właśnie na długie lata „ochrzczono” Klarką. I pod tym imieniem znała ją cała okolica. Niektórzy po latach bardzo się dziwili odkrywając, że tak naprawdę nosi imię zupełnie inne. Chociaż w swojej wsi była po prostu Antosiewą i to sąsiadom wystarczało.

Klara-matka, czy raczej Zofia – jak nazywała się zgodnie z metryką – dbała o czystość i porządek, opiekowała się dziećmi, służyła wręcz mężowi. Była u niego pod przysłowiowym pantoflem. Mąż, początkowo zakochany, stopniowo zaczął „czepiać się” o wszystko. Była szybka i obrotna we wszelkich pracach polowych, więc chętnie wynajmowaną ją na zarobek przy każdej robocie. A mimo to nie cieszyła się powszechnym szacunkiem i nie znalazła należnego uznania w społeczności wiejskich gospodyń. Bo była inna? Na pewno tak! Czy jej zazdrościły? Raczej

nie. Uważały za niegodną ich towarzystwa. Choć spotkania w różnych okolicznościach były nieuniknione, z Zośką jakoś nikt się nie liczył. No bo pomimo dziwactw w ubiorze, ta nie znała się na zegarku, nie pamiętała dat urodzin własnych dzieci, a nawet nie potrafiła... liczyć pieniędzy! Po prostu miała wyraźne braki w zakresie intelektu, a do tego jakąś skazę osobowości. Ale to nie o niej ta opowieść, lecz o jej pierworodnej córce.

Klara „właściwa” – czyli ta młodsza, córka – coraz bardziej nie radziła sobie z nauką. Jakby na przekór umysłowi, znacznie wyprzedzał go przedwczesny rozwój biologiczny. W jej głowie krążyły jakieś myśli zgoła niedziecięce. Już jako dziesięciolatka raczyła gromadki dzieci, również nastoletnich, swymi opowiadkami mocno podbarwionymi erotyzmem. Fantazjowała. Dzieciaki słuchały tych jej historyjek z otwartymi buziami i lekkim niedowierzaniem. Kilka lat później rozsiewała wieści, że prześpała się ze swoim nauczycielem! Częściowo nawet temu wierzono, bo nauczyciel młody i samotny, a uczennica nad wyraz rozwinięta. Kipiała wręcz seksapilem, ubierała się wyzywająco i nieustannie prowokowała płęć męską. Nikt jednak nie mógł do końca wierzyć „głupiej Klarci”. To i owo docierało do jej rodziców, a wówczas ojciec przemienił się w surowego Cerbera. Pilnował swojej pierworodnej, by nawet za furtkę nie wyszła, zamykając tę na kłódkę. Nigdy nie pozwalał córce pójść na zabawę taneczną, nawet w swojej wsi. Dlatego Klara, gdy raz na jakiś czas się spod kurateli ojca wyrwała, przechodziła samą siebie. Panoowało może trochę przesadzone przekonanie, że jeśli tylko jakiś chłopak chciał, to ją miał...

Opóźniony start do szkoły ponadpodstawowej, jakieś zawódki, połączony z wyjazdem do dużego miasta, staje się począt-

kiem wielkiej wolności Klary. Tu nikt nie może jej kontrolować, a przede wszystkim – raczej żadne wieści o jej prowadzeniu się nie dotrą do apodyktycznego ojca. Klarcia od początku zachłystuje się długo wyczekiwaną swobodą. Jest nad wyraz dojrzała, potrafi być zalotna, umie eksponować swoje kobiecie walory i... wabić! Amatorów oczywiście nie brakuje, ale są to „uliczni” zalotnicy. Jeden z ówczesnych znajomych powiedział, że do lasu mieli ją wozić rzekomo „wszyscy taryfjarze z postoju”. Choć trudno oczywiście to zweryfikować.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Oto do wsi przedarła się wieść, że Klara jest w ciąży! Czy ona sama wiedziała z kim? Trudno powiedzieć. Wiadomo tylko, kto się z nią wtedy ochoczy ożenił. Bardzo przyzwoity i atrakcyjny mężczyzna, mądry i... kształcony! Do tego jeszcze świadom faktu, że Klarunia nosi bynajmniej nie jego dziecko. Nie pomagają rozmowy ze wspólnymi znajomymi. Waldek jest tak zakochany, że przyjmuje Klarę z wielkim brzuchem i jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, że zgodziła się go poślubić. Pozorna idylla trwa kilka lat. W tym czasie szybko przychodzi na świat nieślubny syn, potem jeszcze dwie córeczki – kobieta więc już po trzykroć zostaje mamą. Odwiedza rodzinę, babcia i dziadek cieszą się wnukami, wszystko zdaje się wracać do normy. Niestety, nie dla Klary! Zdradza męża od dawna. Wychodzi na przykład z dzieckiem do znajomych, gdzie je pozostawia pod byle pretekstem i ulatnia się na randki z innymi. Oszukuje małżonka na wszystkie możliwe sposoby, jakie tylko w jej głowie mogą się zrodzić. W międzyczasie przeżywa dramat, umiera jej najmłodsza, kilkumiesięczna córeczka. Może z bólu po stracie rzuca się w wir następných romansów?

Kolejny to ten z mężczyzną, który jest w wieku jej rodziców. Klara nie omieszcza tego za każdym razem podkreślać, uznając być może ów związek za jakiś rodzaj nobilitacji. Cezary – to dla niego pozostawia męża i dzieci. Dwójka kilkulatków zostaje tylko z ojcem, choć dla starszego chłopca ojcem biologicznym on nie jest. Po jakimś czasie Waldek wiąże się również z kobietą, by wspólnie tworzyć rodzinę dla dzieci z ich poprzednich małżeństw. Wychowują je wzorcowo. Dzieci Klary i Waldka mają trochę szczęścia, bo dorastają w normalnej rodzinnej atmosferze. Kończą studia, wkraczają w dorosłe życie. Było – minęło. Patrząc z boku, można by ten etap uznać za zamknięty. Inna sprawa to ich ówczesne samopoczucie oraz jak się później osobowościowo ukształtowały. Ale przecież to nie o nich, ale o ich matce opowieść.

Ze starszym partnerem Klarka pozostaje w związku bezdzietnym. Poświęca się pielęgnowaniu jego chorej matki inwalidki oraz prowadzeniu domu. Pracuje ciężko, ale nie narzeka. Jednak – podobnie jak i poprzedniemu – nie jest mu wierna. Zawsze musi mieć kogoś w odwodzie. Spotyka się więc i teraz z innymi. Ona musi to robić! Całe życie dowartościowuje się w taki sposób. Ale po śmierci matki Cezarego kończy się ich związek. Czyżby potrzebował tylko młodej, energicznej dziewczyny do zajmowania się matką? Być może. Choć... przecież z innych jej „walorów” też korzystał!

Tymczasem Klara zakochuje się kolejny raz. Teraz, jakby dla odmiany, w kawalerze o całą dekadę młodszym od siebie. Janek także świata poza nią nie widzi. Ani jej oczywistych defektów w sferze umysłu, ani zachowań, ani jakichkolwiek innych wad. Cóż, miłość jest naprawdę ślepa. Dość szybko pobierają się

i równie prędko przychodzą na świat ich dwie córeczki, jedna po drugiej. O swoich dzieciach z pierwszego małżeństwa kobieta zdaje się w ogóle nie pamiętać. Jeszcze tylko babcia usiłuje jakoś złapać kontakt, ale jest to niezwykle trudne i niebawem całkiem wygasa. Klarusia oddaje się córkom z najnowszego związku. To dorodne dziewczynki, lecz coraz częściej zaniedbywane. Czasem nie mają nawet kromki chleba... Znajomi trochę pomagają, litując się nad dziećmi. Kobiety i jej zachowania zaczynają mieć na serio dość! Zresztą po kilku latach ją i dzieci zostawia młody mąż. Odchodzi do innej. Klara rzuca się w wir życia w szemranym towarzystwie. Już nie tylko w swoim mieście. Jeździ z dziewczynkami do bliższej i dalszej rodziny, żeby chociaż nakarmić je i siebie. Alkoholem też nie pogardzi, choć nigdy nie stała się pijaczką. Dzieci są skazane na przebywanie i nocowanie wśród obcych ludzi. Aż pewnego razu pozostawia córki w pijackiej melinie i... ulatnia się! Znika jak kamień w wodę. Ktoś z sąsiedztwa w małomiasteczkowej społeczności dostrzega dramat kilkuletnich dziewczynek. Sprawa dociera do miejscowego ośrodka pomocy społecznej. Dzieci zostają natychmiast zabrane z tego niechlubnego przybytku. Dokąd? Tego nie wie nikt. Najpewniej do jakiegoś ośrodka opiekuńczego. Może zostały adoptowane? A jeśli, to czy obie trafiły do jednej rodziny i miały szansę wychowywać się razem? Pytania pozostają otwarte. A dziewczyny są już dorosłe. Chyba nie pamiętają swoich biologicznych rodziców. Wszystkim znajomym jest ich wielki żal.

Po porzuceniu – w dwu różnych „gniazdach” – czwórki swoich dzieci, Klara-kukułka błąka się po szerokim świecie. Powraca do panińskiego nazwiska. Chodzą słuchy, że mieszka w stoli-

cy z jakimś bogatym starszym panem. Wciąż się ukrywa, bo jest poszukiwana w związku z nieuregulowaną sytuacją córek z ostatniego związku. Po latach sprawa przycicha. Mam nadzieję, że ta wyrodna matka została pozbawiona praw rodzicielskich, co zwiększyłoby szansę dziewczynek na adopcję.

W swojej najbliższej rodzinie kobieta pojawia się na pogrzebie zmarłego nagle ojca. Zdumienie jest wielkie, bo przyjeżdża... z kolejnym mężem i synkiem! Nie wiadomo nawet, czy ktokolwiek z bliskich wiedział coś o tym wcześniej. Jak na nią przystało, nawet pogrzeb wykorzystuje, by „się pokazać” w swojej rodzinnej wsi. Paraduje ulicą, odwiedza znajomych, chwali się obecnym mężem i rocznym Romusiem. Zdaje się, że ułożyła sobie życie. W pewnym sensie tak i jest, choć i z tym mężem rozstaje się po paru kolejnych latach. Zmienia miejsca zamieszkania. Za pieniądze z niewielkiego spadku po ojcu kupuje nawet mały drewniany domek na wsi. Pracuje dorywczo, w tym – u rolników. Nie mieszka tam jednak dłużej. Dziś żyje w jednym z niewielkich miast powiatowych. Porzuciła wielkomiejskość. Jest z mężczyzną i prawdopodobnie pozostaje z nim w związku małżeńskim, bo znów zmieniła nazwisko. Ma przy sobie jedyne, najmłodszego syna, kilkunastolatka. Więcej dzieci nie będzie, bo Klara dobiega sześćdziesiątki. Urodziła ich aż sześcioro, porzucając jak kukułcze jaja. Jedno zostawiła. Czy Romek wie, że ma rodzeństwo?

Klara... Kobieta dziwna, kobieta piękna, ponętna, z niesamowitym seksapilem – obiekt pożądania wielu mężczyzn. I głęboko nieszczęśliwa, nie potrafiąca stworzyć trwałych więzi ani dłużej wytrwać w żadnej relacji. Postać niezwykle barwna, toteż i łatwo o niej pisać. Choć zapewne głośno nigdy by się do tego

nie przyznała, przegrała życie. Nikt z rodziny się dziś doń nie przyznaje – ani żyjąca matka, ani rodzeństwo. O czwórce porzuconych i zapomnianych dzieci nie wspominając. Znajomi zamykają przed nią drzwi. A przecież była królową, przynajmniej we własnym mniemaniu. Tak upadają królowe! Piękności? Naiwności? Czy zwyczajnie – własnej lekkomyślności i głupoty? A może tylko po prostu jest ofiarą tego, że nie potrafiła naprawdę kochać?

UTWORY NAGRODZONE
W KATEGORII SPECJALNEJ „WŁAŚNIE TU”
W DZIEDZINIE POEZJI

I miejsce

Jolanta Maria Dzienis
(Białystok)

Wiersze, które wprowadzają w atmosferę ziemi podlaskiej tak barwnie i skutecznie, że czytelnik zdecydowany jest odwiedzić ten region i, idąc tropem autora, zakochać się w nim. Każdy wers jest dowodem na fascynację urodą i wdziękiem Podlasia. Zgrabnie opisany folklor, a także krajobrazy.

A ta moja ziemia...

Po ziemi podlaskiej trzeba chodzić boso
Dłońmi muskać chmury wplątane we włosy
Łowić woń powietrza w nozdrza rozszerzone
Pieśni rzewne śpiewać z miłości zrodzone

Nad podlaską ziemią marzenia szybują
Razem z motylami baśń o życiu snując
Z pszczołami zbierają pyłek pracowicie
Z maków rozsypanych w chlebobajnym życie

Na ziemi podlaskiej szumią bujne puszcze
I rwące strumienie niepokornie pluszczą
Na łąkach złociście plenią się nawłocie
Wśród których żab szuka laskonogi bociek

I tę moją ziemię obdarzyłam szczerze
Uczuciem, jakiego nie potrafię zmierzyć
Za nią dzięki składałam w modlitwach do Boga
Wszędzie, gdzie mnie wiedzie życia kręta droga

Targ w Tykocinie

Na targ do Tykocina dzisiaj się wybrałam
I ani przez chwilę nie pożałowałam!
Porcelanę kupiłam, niech się chińska schowa,
Piękną jak malowanie, uwierzcie w me słowa.

Potem dzbanek do wina ochoczo nabyłam,
I antałek do piwa też, jak już tam byłam!
Do kwaszenia ogórków garniec też mnie skusił,
Będą takie przepyszne, jak te od mamusi.

Doniczka wiklinowa w rowerek zakłęta,
Świątki, diabelki, lalki, przeróżne zwierzęta,
Koszyczek na owoce i na zakupy kosz,
Oj, przydałby się do wydania dodatkowy grosz!

Gliniane dwojaczki, misy wypalane,
Kupuję jak szalona, oszczędność mam za nic,
I nabyłabym jeszcze różnych rzeczy z tysiąc,
Bo było w czym wybierać, mogę wam to przysiąc,

Lecz fletni usłyszałam kojącą muzykę,
Jakby ktoś chciał przywołać swoją Eurydykę,

Potem łódką po Narwi rejs krótki odbyłam,
A wszystko dzięki temu, że na targu byłam!

II miejsce

Marek Górniewicz

(Kleosin)

Nostalgiczne, miło snujące się wspomnienia, do chwil zapomnianych, oddalonych w czasie. Zręcznie użyte metafory, oraz wyjątkowy, osobisty stosunek autora do wspomnień, nastrajają, i pozwalają na podróż wstecz. Zadowalające jest też zachowanie poprawności stylistycznej, a także zgodności treści z tematem.

Dawidowicze

Został tylko stary zegar
opuszczony przez zlepkę kukułki
pajęcza nić na srebrnej ikonie
zimny piec mrokiem płonący
sztuczne kwiaty co dawno przekwitły

Został obraz z przodkami rodziny
mętne lustro bez blasku odbicia
kartki wspomnień w słonej zalewie
kilka wierszy gromnica i Biblia

Biały obrus tęskniący za chlebem
rzędy cieni samotnych aniołów
skrawek okna pływający w kroplach
deszczu pustki padającej ciszy

Supraśl

w słodczy herbacianej
zima dzwoni mrozem
na modlitwę sobotnią
Hospodi pomiłuj

w klasztornych ścianach
ikony czytają wiersze
samotnym by odkryli świat na nowo
zagubionym ku przestrodze

w gromadce poszarzałych łabędzi
idziemy zamarzniętą rzeką
na drugą stronę
na chwilę
ogrzać się młodością

w ciszy ulic kocie łapki
uciekają do nieba
na mlecznej drodze
memłają różowe języczki

III miejsce

Bożena Klimaszewska
(Obuchowizna)

Pełne wdzięku, sentymentalne wspomnienie Noblistki, uznać należy za godne. Obok zaś – historia zwykłych ludzi – zachęca do refleksji nad własnym życiem. Poetycka forma wydaje się być jedyną z możliwych, celnie opisującą blaski i cienie ludzkiej egzystencji. Teksty zadowalająco poprawne. Budzą zadumę i nostalgię.

Szymborskiej

Szymborską – bez obrazu
Czytam na „klopie”
Co prawda Ona dawno już
W niebie na urlopie

Zapewne dziurę wierci
W brzuchu Pana Boga
W jakiej to postaci
Zejdzie znów na ziemię
Lub na czyich nogach

Czy będzie tylko listkiem
Drżącym na wietrze
Żuczkiem w czarnym garniturze
Jaszczurką która zgrabnie

Wspina się po murze

A może dym puści z papierosa

Pióro zatknie we włosach

Nie zostanie kurą domową

Bo w głowie znów ma poezję

I to całkiem nową

Historia zwykłych ludzi

W przyszłości ktoś

Wyrzuci nasze fotografie

Nie będzie się głowił

Nad naszą historią

Bezmyślnie

Zgniecie nasze twarze

Oderwie nam dłonie

To ostateczna śmierć

Koniec

Chociaż niepamięć ludzka

Jest gorsza

Nam nic już nie zaszkodzi

My wciąż

Uśmiechnięci i młodzi

Parami trafimy do kosza

UTWORY NAGRODZONE
W KATEGORII SPECJALNEJ „WŁAŚNIE TU”
W DZIEDZINIE PROZY

I miejsce

Halinka Bohuta-Stapel
(Wilkanowo)

To bardzo ciekawe spojrzenie na historię z perspektywy rzeki. Nagradzamy za reportersko-literackie przypomnienie czasu wojny, jakiego doświadczali tutejsi mieszkańcy, wraz z zapamiętanym językiem obydwu najeźdźców. Za zbliżenie tragicznej i wielkiej wojny do losów zwykłych ludzi mieszkających nad Narwią i Supraślą. Za szczerość opisu, a przede wszystkim zachowanie w pamięci wspomnień wiązanych z tamtym czasem. Wojna, dzięki tej opowieści, jest realnym konfliktem, który nie tylko może zdarzyć się każdego dnia, ale też osiągnąć każdego z nas.

Raport z wojenki ludzko-ludzkiej

Gdyby nie to, że opisane tu sytuacje naprawdę wydarzyły się podczas ostatniej wojny, to treść opowiadania mogłaby uchodzić za ckliwy banal.

Nurt Narwi nie jest narowisty, a i wpadająca do niej Supraśl jest leniwa i obojętna na wszystko.

Wlecze się szarą wstęgą między łąkami i nic jej nie obchodzi, co wyprawiają dwunogie istoty depczące trawę po obu jej brzegach. A depczą ją stopami bosymi albo stopami uzbrojonymi w żołnierskie buciory. Albo stopami owiniętymi burą onucą.

Jeszcze podczas pierwszych dni tego lata młodzież wiejska i chmara dzieciaków mąciły nurt rzeki beztroską kąpielą i pluśkaniem, za nic mając dochodzące od wschodu pomrukiwania dział i trwającą kolejne lato okupacyjną rzeczywistość. Ale ostatnie wieczory i ranki są inne, cisza przysiada nad brzegiem Supraśli jak wiejska *szeptucha* i zda się zaklinać rzeczywistość, lecz spłoszona umyka jak bezradny znachor, który widzi, że nie zdoła rozprawić się z tym cyklicznie nawracającym chorobskiem, jakim zawsze była i jakim zawsze będzie wojna.

Rosjanie przegonili Niemców na zachodni brzeg, a sami rozłożyli się na wschodnim. Obie strony respektują nocną ciszę, a i pobliska wioska też szykuje się do snu, płytkiego snu, nerwowego snu, mąconego troską o jutro. Lipcowy dzień pachnie zbożem, a noc dławi się spóźnionym jaśminem i wczesną lipą, które także, jak i ta leniwa rzeka, za nic mają okupacyjną rzeczywistość i ich kwietna biel zda się nie dostrzegać bezsensu ludzkich poczynañ. A ludzkie poczynania zawierają się w trzasku krótkich rozkazów – nie strzelać, czekać.

Na zachodnim brzegu obowiązuje karne: *Jawohl!*, a na wschodnim posłuszne: *Tak, toczno!*

Ludziska z wioski nie boją się Rosjan, bo i mowa ich jakaś taka prawie swoja, choć i na Niemców nie narzekali, bo obyło się bez gwałtów i przemocy, tylko kwatery trzeba było im dać, no i zapewnić żarcie. Aliuta musiała wyszykować najlepszą izbę dla tego ich dowódcy, ale gorzej było z jedzeniem, bo to przednówek, zboże stoi w słońcu i pokornie czeka na sierpniową rzeź, a zapasy zeszłorocznej mąki kończą się, więc jedyne dostępne pożywienie to mleko albo maślanka. Bo taki Niemiec to ani spojrzy na zalewajkę na lebiodzie. Ten dowódca przysłał najpierw

swojego adiutanta, żeby ten załatwił wszystko z zakwaterowaniem i wyżywieniem.

A ten adiutant to ma głębę jakby nie nordycką. Rozsiadł się na ławie i uważnie obserwuje krzątanicę obu kobiet, jak ciekawski, młody buldog.

Aliuta do matki:

– *Mamu*, a gdzie poszewki z bawełny, bo jak te lniane go w dupę pogryzą, to jeszcze nas gotowi rozwalić...

Olga zaciska usta i wyciąga ze skrzyni białą bawełnianą pościel.

– *Na!*

Aliuta wymienia siano, energicznymi kuksańcami upycha je równomiernie w brzuszysku siennika.

– A może będzie maślankę jadł? *Czort jewo podieri...* – ni to pyta, ni to głośno myśli.

– A bo ja wiem? Toż oni chyba nie nauczone *kuszat'* takie nasze frykasy! A my, ot co, *kartoszki* nagotujem, maślanką polejem

– *Ot i usio!* – Olga ledwie tłumi irytację.

– A będzie taki jeden z drugim chciał to jeść?

– w głosie Aliuty pobrzmiwa nie tyle troska, co skrywany strach. – Hmm, *kartofli* i maślanka...

No i wtedy odzywa się ten adiutant.

– Maszlanka i *Kartoffeln* to *topsi*, to *baldzo, baldzo topsi!* Tak jeść, jeść – a potem srać!

Aliuta prychnął śmiechem, Olga posyła jej grom karcącego spojżenia, a ten Niemiec o wyglądzie młodego, poczciwego buldoga leci dalej:

– Ja *była* ze Szlonsk, *verstehen?* Ja ze *Szlonsk*, moja *Mutter* *była* polska!

I dalej do Aliuty:

– Ty moja *Schwester*, a ten *Krieg* to *baldzo, baldzo źle...*

Aliuta ta aż poczerwieniała, ma ochotę przywalić rondlem w jego kanciasty łeb.

– A nasz *sobaka* jest twoja „szwester”, szkopie, a nie ja – mruczy pod nosem, ale tak, żeby to tylko Olga usłyszała, a nie ta szkopska małpa.

No a potem Niemcy poszli sobie za rzekę, a przyszli ruskie. A ci to nawet rosół z lebiody jedli i nie narzekali. No, może z tym „poszli”, to trochę nie tak – Rosjanie katuszami przegonili Niemców, ale wioskę wzięli bokiem, chałupy stoją nienaruszone, nawet odłamkami nie draśnięte. A teraz jedni i drudzy siedzą po obu stronach rzeki już trzeci dzień. Jednych od drugich oddziela tylko wstęga sinawej rzeki i jak cisza wieczorna zapada, to ruskie słyszą brzęk niemieckich menażek. A kolację przynoszą im w dwojakach wioskowe dzieciaki. Aliuta prowadzi ich całą chmarę i tylko palec do ust ściągniętych w ciup przykłada, nakazując ciszę, bo choć Niemcy podczas „gościny” w wiosce nikogo nie skrzywdzili, to jednak to wredne szkopy. A siedzą tak blisko, choć za rzeką, za ledwie na odległość strzału.

Ruskie chłepcą rosół z lebiody, zapijają maślanką. *Ot, zakurit' choczieta sia.. Ale nie lzia*, ogniki papierosów mogłyby spowodować Niemców, choć to wieczór. A wieczorem poprzedzającym poranny atak dowódcy rozdzielają po ćwiartce wódki na łebka. Zawsze wieczorem, zawsze po kolacji, nawet po bardzo postnej. I tak jest w każdej armii. Bo kto by na trzeźwo strzelał do ludzi, których wcześniej na oczy nigdy nie widział...

Aliuta zbiera pospiesznie dwojaki, bo tego wieczoru wódka idzie w obieg. Cieszą się nią tylko młodziki, co to prochu jeszcze

nie wǳchali, ci bardziej doświadczeni nalewają ją do blaszanych kubków i piją z ciężkim westchnieniem, atmosfera zaczyna nasiąkać wonią podłego alkoholu, rozlewanego *po stakanczikam*. I wtedy zza rzeki, z jej zachodniego brzegu, dochodzi do ruskich zawołanie w ich języku, ale wykrzywane twardo, z obcym akcentem:

– *Wanka, Wanka, daj zakuryt!*

Ruscy już sobie golięli, Aliuta wie, że lepiej jest teraz niepostrzeżenie się ulotnić, ale niemiecka zaczepka skierowana do Rosjan tak ją zaskakuje, że przygarnǳszy do siebie gromadkę dzieciarni zatrzymuje się i ciekawie nadstawia ucha.

Szmerek i chichoty poszły po ruskich okopach. No to teraz kolej na Rosjan:

– *Hans, Hans, bitte rauchen!* I tu rechot podchmielonych mężczyzn okopanych na wschodnim brzegu Supraśli.

Mija kilka sekund i Aliuta z przerażeniem dostrzega lecący w kierunku ruskich stanowisk niewielki przedmiot. Granat! – pierwsze, co jej przychodzi na myśl, więc instynktownie kuli się i usiłuje objąć ramionami całą gromadkę zaskoczonych dzieciaków.

Ale to nie granat, Rosjanie rozpakowują „przesyłkę” – papierosy. W ładnym pudełku, pachnące, zawinięte w mocny papier, całość dociążona niewielkim polnym kamykiem. No to Rosjanie owijają papierem garść machorki i wraz z kamykiem przrzucają na zachodni brzeg, a potem śpiewają rzewnie, na kilka głosów, zaciągając się „*trofejnymi*” papierosami:

„*Wiczernij zwon, wiczernij zwon,
kak mnoga dum zawodit on...*”

A nad ranem rozpętuje się piekło. Front walk przewalający się to na jedną to na drugą stronę rzeki nie oszczędza wioski. Ludzie chowają się do piwnic, ziemianek – gdzie kto może, a dźwięk móżdżerzy rżnie powietrze na strzępy, przy wtórze rechotu erkaemów.

Aliuta i Olga razem z innymi babami uciekły do chałupy Bondarczuka, bo ta jest podpiwniczona.

I ta cudza piwnica zdaje się być bezpieczniejszym schronieniem przed świstem kul niż ich własny dom, dość solidny dom, nie jakaś tam *piatistienka*. Ludzie stłoczeni w piwnicy oświetlonej tylko nikłym ognikiem świeczek trwają w milczeniu, przerywanym czasem westchnieniami: „*Hospodi, pomiluj*” lub „*Boże ty mój*” w zależności od tego, czy ktoś chodzi do cerkwi, czy do kościoła.

A jak wreszcie wszystko ucichło i jak cisza znów podeszła pod próg i ludzie zaczęli przełazić do izby przez właz umieszczony w podłodze, to oczom ich ukazał się dziwny widok. W izbie tej, na dwu jej krańcach, pod ścianami, siedzi dwóch przerażonych chłopców, takich coś około osiemnastki. Obaj są ranni, bo krew nasączyła lewy rękaw jednego, a ten drugi podwinął nogę aż pod brodę i, ściskając ją, usiłuje zatamować krwotok. Obaj mają na sobie strzępy mundurów. Dwóch bardzo różnych mundurów. Dwóch wrogich sobie mundurów. I tylko te mundury ich różnią – chłopcy są tej samej postury, wzrostu, obaj jasnowłosi, obaj niebieskoocy, obaj dziecięco przerażeni.

– *Anu*, Aliuta, ruskiego trzeba opatrzyć – decyduje stary Bondarczuk.

Dziewczyna rozejrzawszy się pobieżnie dookoła i nie znalazłszy niczego, co mogłoby sprawdzić się jako bandaż, oddziera

kawałek dołu swojej kretonowej sukienki i opatruje ranę na ramieniu Rosja- nina. Niemiec patrzy na nią błagalnie, ale stary Bondarczuk spluwa na podłogę:

– A szkopowi soli sypnąć na ranę, ot co!

Po ludziach wyłazących z piwnicy idzie szmerek, ale Aliuta urywa drugi strzępek sukienki, podcho- dzi do Niemca i opatru- je go tak samo dokładnie, jak tamtego.

– Zabrać im giwery, *nichaj idut k' jebieni matieri*, do swoich! – stary Bondarczuk podnosi z podłogi broń, odrzuconą na bok przez obu chłopaków.

– Ot, ty *durak* – Olga puka się w czoło. – Toż jak oni wrócą do swoich bez tych swoich „cacków”, to czapa!

Bondarczuk marszczy brew, skrobie się w poorane zmarszcz- kami czoło, ale Olga już człapie do niego i nadstawia fartuch.

– *Anu, dawaj!* – dyryguje stanowczym głosem, bo stanowczy jest charakter poleskich bab.

Bondarczuk posłusznie opróżnia magazynek pepeszy i mau- zera, naboje sypią się na podolek Olgi niczym ołowiana fasola, kobieta aż przysiada pod ich ciężarem.

– *Anu paszli, czort was padieri!* – warczy stary, rzucając rozła- dowaną broń pod nogi młodzików.

Chłopcy, ucapiwszy giwery, rzucają się w zarośla za domem jak wypuszczone z klatki króliki. Kuśtykając umykają każdy w swoją stronę.

II miejsce

Agnieszka Ruczaj
(Białystok)

Bólu po stracie nie da się zmierzyć, a pustki nigdy nic nie wypełnia. Z tematem straty najbliższej osoby mierzyli się najwięksi i zwyczajni ludzie. Już sam tytuł, który przenosi nas w czasie w nieznaną jeszcze przyszłość i pokazuje, że bez względu na upływ dni – nic się nie zmienia. Nagradzamy za prostotę opowieści o tym, jak boli utrata babci. Za głębokie przeżycie, przynależne każdemu człowiekowi, który rozstaje się z bliską osobą. I za formę, która – będąc listem pisanym do babci – zbliża czytelnika do najszczerzego bólu”.

18 grudnia roku Pańskiego 2019

Kartka z pamiętnika odnosi się zwykle do wydarzeń przeszłych, prawda? Bo po co ktoś, jakkolwiek nawet obdarzony niezwykłą fantazją i poczuciem humoru, miałby opisywać dzień, który jeszcze nie nadszedł. Cóż... Zaczyna mieć to sens chyba dopiero wówczas, kiedy człowiek uświadomi sobie, że taka data może nigdy nie pojawić się w jego osobistym kalendarzu odmierzonym uderzeniami serca. Bo dzisiaj jestem – a jutro? Tego nie wiem. Nie mogę być pewna nawet kolejnej sekundy. A co dopiero dnia za kilka miesięcy...

Kalendarz w Twoim domu zatrzymał się w październiku 2017 roku. Wtedy trafiłaś do szpitala i nie było komu zrywać kolej-

nych kartek. A przecież dawniej codziennie to robiłaś, starannie czytając proponowane przez autora przepisy kulinarne, porady dotyczące zdrowia oraz aforyzmy. Dziwiłaś się, dlaczego inni tego nie studiują... Bo przecież każdy nowy wschód Słońca to szansa na to, by się czegoś dowiedzieć. Kolejna strona wyrwana z tej przedziwnej książeczki będącej zbiorem kolejnych dni, tworzących coraz to nowe tygodnie i lata, kryje w sobie mądrość. Z jakiego więc powodu tak niewielu przywiązuje do tego wagę? Pewnie wydaje im się, że mają jeszcze czas. Że zdążą jeszcze przeczytać te wszystkie zapisane drobnym drukiem karteczki. O, jak złudna to nadzieja! Ty dobrze o tym wiedziałaś.

Od pewnego czasu miałam świadomość tego, że niedługo może Cię zabraknąć. Czy się z tym pogodziłam, czy się przygotowałam? Nie. Na to zawsze jest zbyt wcześnie. Choć ludzie, próbując znaleźć słowa pocieszenia, mówią, że dożyłaś pięknego wieku. Tak. Ale czy to ma zmniejszyć ból...? I czy w ogóle powinno? Gdybym miała zażyć środek znieczulający, który pozwoliłby mi nie cierpieć, gdy odeszłaś, nie zrobiłabym tego. To nie byłoby w porządku wobec Ciebie. Tyle długich lat poświęciłaś, żeby świat przyjął obecny kształt (tak, każdy ma na to wpływ). A ja miałabym tak po prostu zapomnieć o Tobie jak o jakimś marnym filmie – zaraz po literach końcowych? Nie. Tylko wątpliwej jakości sztukę można zepchnąć gdzieś w otchłanie nieświadomości. Twoje życie było poematem. Takich dzieł się nie zapomina.

Powtarzałaś zawsze, chyba za jakimś kaznodzieją, że życie się nie kończy, ale zmienia. Co to dla Ciebie oznaczało? Wierzyłaś, że Tam – w krainie, gdzie nie ma jutra, a cała przeszłość i przyszłość staje się teraźniejszością – czeka na Ciebie Dobry Bóg. Że

trafisz do świata, w którym nie ma już cierpienia i kłótni. Gdzie nie ma bólu, jaki nazaczył krzyżem wiele lat Twojego życia. Bo On jest Miłością i przytula do Swojego miłosiernego łona tych, co mu ufają. Mam nadzieję, że tak się stało.

Ale po przekroczeniu przez Ciebie tego progu, dokładnie 18 grudnia 2017 roku, nie tylko Twoje życie się zmieniło. Teraz nic nie jest już takie samo. Dom wypełnia pustka i obcy chłód. Nie słyszę już, jak od rana śpiewasz kolejne zwrotki piosenek z lat młodości (choć wierzę, że teraz Tam słyhać Twój śpiew...). Może jeszcze kiedyś będzie nam dane zaśpiewać razem.

Czasem jeszcze z Tobą rozmawiam. Myślę, że cieszyłybyś się z moich sukcesów, dlatego Ci o nich mówię. Myślę, że na mnie patrzysz, opiekujesz się mną i nie przestajesz kochać. Tak bym chciała się z Tobą spotkać... Nie musieć przeżywać już kolejnych takich świąt – tak pustych, a jednocześnie wypełnionych po brzegi. Ale żalem i bólem. Jest grudzień, dwa lata po Twojej śmierci. Cały ten bożonarodzeniowy klimat, choinki i dźwięk kołęd już od dawna mi towarzyszą. Ale ja wcale nie chcę z nimi obcować. Stoję gdzieś pośrodku tego przedświątecznego zgiełku w poczuciu, że nikt mnie nie rozumie. Bo przecież mówią, że to czas radości... A ja po raz kolejny mierzę się z nicością. Bo nie ma ludzi niezastąpionych, wiesz? Gdy ktoś odchodzi pozostawia po sobie przestrzeń, która nie nosi w sobie nawet najmniejszego znamienia jakiegokolwiek obecności. Skoro nie ma tam absolutnie nic, to dlaczego tak boli? Czy niebyć może zadawać rany? Najwidoczniej może, choć wszyscy tak bardzo chcielibyśmy, by tak nie było.

Kiedyś śpiewałaś mi na dobranoc: „Śpij, dziecinko moja mała, czas na Ciebie już. Ja Cię będę kołysała, a Ty oczka zmruż. Ja

Cię będę kołysała, a Ty oczka zmrucz...” Żałuję, że nie zdążyłam nauczyć się wszystkich zwrotek... Mam nadzieję, że Tam będę miała na to szansę. Nie chcę już więcej zasypiać bez kołysanki.

III miejsce

Regina Świtoń

(Knyszyn)

Ładny, literacki opis wojny buduje tu narrację opowieści z perspektywy córki. Wielka historia dosięga zwyczajnych ludzi, łamie ich życia, zmienia bieg normalnych zdarzeń, wykołaja codzienność, nie pozwala żyć normalnie, spokojnie – w cieniu „błękitnej toni”. Literacka opowieść o stracie i nigdy nie zatartym bólu, a także nostalgiczne wspomnienie ojca, którego spotkać można już tylko we wspomnieniach. Nagradzamy za poruszające serce przeżycie wojenne, jakiego mogliśmy doznać, czytając ten tekst.

Nad „Błękitną Tonią”

Na dwukołowym „pegazie” mknę do krainy stawów. Droga jak wstęga zadymiona jasnością południa, nasycą aromatem lipowym. W mgliście liliowej dali pięknieje panorama miasteczka. Przedemną zwierciadło „Błękitnej Toni”. Obłoki odbijają twarze w tafli wód, pióropusze łabędzi donośnym furkotem rozbijają ciszę. Zdaje się, że za chwilę w fanfarach pobliskich drzew zaskrzypią schody i ujrzę pogodną twarz staruszka. Uśmiechnię się i powie:

„Tego się nie da opisać jak bardzo kochało się pierwszy, najważniejszy w życiu dom. Dusza wrastała w przestrzeń Podlaskiej Ziemi i nasyciała się nią do syta”.

Dziś nie ma tu białego dworku ani ogródka uśmiechniętego pachnącą rezedą.

Wtopiona w *locus amoenus* pod sędziwym klonem przysiadam. Zdaje się, że z szeptem wiatru w symfonii trzciniowiska, snuje się opowieść o tamtych ludziach.

Była druga połowa października 1939 roku, kiedy młody Adaś wrócił do rodzinnego domu. Nie zdążył wziąć udziału w wojnie z Niemcami. Miał za sobą obłądny rajd na Wschód w poszukiwaniu Warszawskiej Legii Akademickiej, do której był przypisany jako student trzeciego roku SGGW. Niestety, nie zdołał odnaleźć jednostki wojskowej.

Podróżując funkcjonującymi pociągami, śpiąc wśród rzeszy uciekinierów na podłodze, jako typowy maruder brudny, głodny był, ale szczęśliwy, że wraca do domu.

Czyż mógł przewidzieć, że jego dom nie istnieje? Zajął go sztab Krasnej Armii.

Rodzinę wsparła pomocą służba folwarczna. Niemal na rękach udało się przenieść resztki dóbr ruchomych do pobliskiej oficyny. Przybysz z trudem rozpoznał swoją matkę.

Przywitała go kobieta przygnieciona bólem i troską o los swoich pięciorga dzieci.

W końcu października Adam otrzymał list od koleżanki z gimnazjum, z którą pracował niegdyś w redakcji „Głosu Uczniowskiego”. Była to wyrwana z zeszytu kartka, zapisana krótkimi zdaniem. Danusia prosiła o pomoc. Jej matka, właścicielka majątku położonego około sześciu kilometrów od Tykocina, została aresztowana przez nowe władze miasta.

W pustym dworze lipnickim narażona na odwiedziny krasnoarmiejców, Danusia została tylko ze swoją siostrą. Na szczęście

zaufanemu fernalowi udało się wywieźć dziewczęta do Choroszczy. Otoczenie wprowadził w błąd informując, że panienki pojechały do szosy warszawskiej, a stamtąd zabrano je do stolicy, do matki.

Siostry rozpoczęły pracę w szpitalu w tzw. „psychuszcze”. Danusię, po dwóch latach studiów na wydziale farmacji, zatrudniono jako pomoc w miejscowej aptece. Aleksandra trafiła gorzej, bo jako „mediestra” na najtrudniejszy wydział II – dla psychicznie chorych.

Ale czuwało nad nimi *nachylenie Boga*. Dziewczęta znalazły pomoc w rodzinie krawcowej Anny Rojeckiej, choć nie było wtedy bezpiecznym udzielanie pomocy tzw. „biełaruczkom”.

Wkrótce nad zacnymi gospodarzami i „bieżenkami” zawisło zagrożenie.

W lutym 1940 roku NKWD zabrało mieszkającą na parterze rodzinę lekarzy o nazwisku Magalif. Byli to Żydzi – uciekinierzy z Warszawy. Wywieziono ich w dalekie tajgi Rosji. Wobec prawdopodobieństwa powrotu NKWD i wywózki, wobec stałego napięcia w jakim żyły dziewczyny, trzeba było zdecydowanie działać.

Uradzono, że należy sforsować granicę sowiecko-niemiecką. Danka i Aleksandra dotarłyby do matki ulokowanej u rodziny, a Adam do majątku w Suskach koło Długosiodła.

I tu poznajemy głównych bohaterów solidarności, na której budowała się siła oporu przeciwko najeźdźcy. Pan Jakacki opowieścią przenosi nas do Bagienek, gdzie w sąsiadującym z Lipnikami zaścianku szlacheckim zamieszkiwały różne koligacje rodu Gąsowskich. Ten ród pomógł wcześniej matce Danki i jej troj-

gu pozostałym dzieciom przedrzeć się przez granicę sowiecko – niemiecką do Generalnego Gubernatorstwa.

To właśnie z Bagienek dziewczęta lipnickie miały ważne informacje o przebiegu tej przeprawy. Od nich też młodzieniec otrzymał adres do Piotra Gąsowskiego. Tu miał powołać się na znajomość domu lipnickiego z rodem Gąsowskich i prosić o pomoc w przeprawie na polską stronę.

Nasilało się zagrożenie. Nocne „prowierki” urządzone przez „lokatorów” domu, stawały się coraz bardziej natarczywe.

Krytycznego wieczoru podczas kolejnego sprawdzania zapytano Adama, czy jest zameldowany w pobliskim miasteczku w wojenkomacie, bo rysuje się przed nim zaszczepna możliwość wejścia do Krasnej Armii. To był impuls do kolejnej wędrówki.

Matka przygotowała ekwipunek na drogę. Świeliki gwiazd zaglądały do okien, kiedy zęgnęła syna. Wyruszył na nieznaný los, do nieznaných ludzi.

Na rynku w Tykocinie zatrzymał go milicjant. Pytał skąd i dokąd idzie. Adam wiedział jak być „nijakim”. Wytłumaczył się chłopskim sloganem, że podąża do rodziny pomagać w młocce. Około sześciu kilometrów od miasteczka minął drogę do Lipnik i dotarł do celu.

W tamtych czasach wchodząc do domu witało się domowników pełnym szacunku pochwaleniem Jezusa Chrystusa. W odpowiedzi na te słowa młodzieniec usłyszał od gospodarza sakramentalne *na wieki wieków*. Wiedział, że jest pośród swoich.

Nie da się zapomnieć nauk jakich udzielał mu główny gospodarz – Józef Gąsowski.

Codziennie trzeba było walić cepem w rozścielone na klepsku snopy żyta. Prosta słoma szła na poszycie dachów. Adam

musiał nauczyć się także koszenia, klepania kosy, naprawiania narzędzi i uprzęży, przebierania ziemniaków, a nawet pasienia krów, co wbrew pozorom okazało się czynnością daleką od bezmyślności. Dawało bowiem możliwość medytacji nad pogmatwanym losem.

To były trudne miesiące. Oddalała się perspektywa pomyślnego przejścia przez granicę, podobnie jak powrót do rodzinnego domu.

W czerwcu 1940 roku wszyscy przeżyli dramat – upadek Francji. Żadnej nadziei. W tych ciężkich chwilach chłopiec w szczególny sposób otoczony był troską rodziny, która traktowała go jak własnego syna. Kiedy w niedługim czasie opuszczał ten dom nie wiedział jak dramatycznie potoczą się losy jego mieszkańców.

W czerwcu 1940 roku wrócił do kuzynów zamieszkałych w Rudzie. Tutaj na wsi zagrożenie poborem do Krasnej Armii było dużo mniejsze, aniżeli w miasteczku.

Adam był tylko jednym z licznych młodych mężczyzn, których nie próbowano werbować do wojska. W mniemaniu Sowieców taki „awans” należał się przede wszystkim miejskim paniczom.

Pozorny spokój zburzył ranek 22 czerwca 1941 roku. W dniach poprzedzających tę datę władze bolszewickie nasiliły wywózkę Polaków na Wschód. Dla bezpieczeństwa, podczas takich nocy wszyscy sypiali poza domem w kopach siana, przyległych do torów kolejowych.

Krytycznego ranka obudził ich nalot samolotów i huk bomb.

Niemcy zaatakowały Związek Radziecki. Ten obraz wbił się w serce bolesną rysą.

Czerwcowego ranka torami Białystok – Grajewo zdążył jeszcze przed frontem przejechać bardzo długi pociąg towarowy. Na nieludzką ziemię do Rosji wiozł tysiące Polaków.

Adam słyszał żałosne jęki, krzyki a nawet pieśni religijne zesłańców. Nie wiedział jednak, że w owym strasznym pociągu do Altajskiego Kraju, znalazło się troje Gąsowskich: Piotr, Helena i jego gospodarska „nauczycielka” – młodziutka Bolcia.

Kiedy po latach sięgał pamięcią tamtych czasów i niezyczących już bohaterów dramatu, dokonywał gorzkiego osądu. Uważał, że tacy jak on – młodzi „bezpizorni” – osłanianiani od represji bolszewickiej, budowali los deportowanych.

Czy byli temu winni?

Droga Córuniu (tak mnie nazywał w listach):

Miałem bezsenną noc. Wrócił mi cykl wspomnień. Takt stukotu trzech grabowych bijaków jeszcze mam w uszach. Oczy przedstawiały widzieć przyjazną stodołę. Przesuwały się postacie moich rodziców i Danci, którą tak wówczas prawie beznadziejnie kochałem. Czy byłaś wygnana z własnego domu? Z węzełkiem w rękę, z odgłosem pięknych melodyjnie, ale też już nienawistnych rosyjskich piosenek?

Wspomnienia nanizane na żdźbła czasu kontempluję wzruszeniem.

Nad „Błękitną Tonią” pamięć oplakuje cisza.

UTWORY WYRÓŻNIONE
PRZEZ PODLASKĄ REDAKCJĘ SENIORA
W KATEGORII OGÓLNEJ, W DZIEDZINIE
POEZJI

Wyróżnienie

Bogusława Wierzbicka

(Białystok)

Trwam

Pożyczyłam życie

Pożyczyłam was

Trwam

Coś nie tak?

Czegoś brak?

Nieobecna?

Chyba tak

Gdzie me serce?

Gdzie mój dom?

Gdzieś tam – hen

Gdzieś daleko stąd

Miedzy wami

Trwam

Tam mnie ciągnie

Tam mnie gna

Za czymś tęsknię

O czymś marzę

Czekam

Coś się zdarzy

Trwam

Zaświta

Zadnieje

Poczuję się lepiej

Wróci radość

Wrócą sny

Mam nadzieję

Zacznę żyć

Trwam

Coraz mniej czuję was

Powoli odchodzę

Nadszedł czas

Oddam życie

Oddam was

Odejść tam

Gdzie to jest?

Czekam

Trwam

Wyróżnienie

Irena Słomińska

(Białystok)

Klucz

To taki klucz do życia – zardzewiały
wytrych pamięci. Dzieciństwo w stalinowskich czasach.

Ich jakość nie była jednoznaczna. Mieszały się
doznania. Radość z wewnętrznego ciepła i bieda,
która zdawała się bogactwem, gdy cieszyliśmy się
z surowych szprotów, kupionych za grosze.

Mama i ojciec, młodzi. Teraz wiem, że zmęczeni.
Surowość stała się sposobem na życie i miękkość,
poddanie się.

Tak działa filtr pamięci.

Próbuje tłumaczyć moje dziecięce, zagrożone piękno.

A jednak zachwyty – ogród, w którym rosły
rachityczne warzywa – istnienie zakłete w kształt.

Książka z obrazkami wciąż się otwiera na stronie
z zakłębieniem. Tam dla mnie stawała się baśń.

Nawet wtedy, gdy ukradziono sanki. Dziś wiem,
że mogły stać się wehikułem czasu.

Czy przeniósłby mnie w szczęście?

Już go zaznałam, nieświadoma, gdy wokół
cień rzucało rozstrzelane życie.

Wyróżnienie

Mieczysław Borys

(Czarna Białostocka)

Czym człowiek jest

Czym człowiek jest wobec siły atmosferycznej natury
[dziesięć przykazań w kolejności przypadkowej autora]
Czym człowiek jest wobec rzeki, która wartko płynie.
Najwyżej kroplą deszczu, która do rzeki spadnie nic nie
znacząc.

Czym człowiek jest wobec huraganu,
który przez otoczenie ludzkie przechodzi.
Bezradnym liściem, który żadnego oporu nie postawi,
a zostanie przez burzę porwany nic nie znacząc.

Czym człowiek jest wobec pioruna,
który z nieba w ziemię uderza.
Jedynie świadkiem przyglądającym
dla potęgi atmosferycznej nic nie znacząc.

Czym człowiek jest wobec słońca, które świeci
na ziemię, dając stworzeniom ziemskim życie.
Jedynie astronomem obserwującym i badającym
zachodzące wybuchy i zmiany na słońcu nic nie znacząc.

Czym człowiek jest wobec wybuchającego wulkanu
i wylewającej lawy.

Jedynie obserwującym i w razie w miejscu zagrożenia
życia
opuszczającym miejsce wulkanowi nic nie znacząc.

Czym człowiek jest wobec mających władzę, którzy
robią przekręty.

„Śrubkami porozrzucanymi w magazynie” władnym
nic nie znacząc.

Czym człowiek jest wobec dobroci ludzkiej.

Tym, który pomoże materialnie, powie dobre słowo,
poda ciepłą rękę co im życiem znaczy.

Czym człowiek jest wobec Miłości.

Radością życia drugiej Osobie i sobie, bo wiemy,
że Miłość wszystko przezwycięża i szczęśliwe życie
znaczy.

Czym człowiek jest wobec śmierci, która nikogo nie
ominie.

Za życia i po życiu pamięcią, która nas odróżnia
od zwierząt i naszą ludzką kulturę znaczy.

Czym człowiek jest wobec pięknych, zdrowych
i bogatych, kiedy życie z niego lumpa robi.

Nie trzeba takiego człowieka się brzydzić
i szeroko go omijać, a podać mu rękę i nakarmić,
wtedy prawdziwie ludzkim człowiekiem się staniesz

i zrozumiesz czym jest niebo i piekło na ziemi,
co dla tego świata przeżyciem lub śmiercią znaczy.
Amen.

Wyróżnienie

Marek Krysiwicz

(Białystok)

Obłokomania

A gdybym był obłokiem
i płynął Sobie po niebie,
napawał się z góry widokiem,
wysoko – dumny z Siebie.

Wolny jak wiatr powieje,
płynę i obserwuję,
patrzę co w dole się dzieje,
swego ciężenia nie czuję.

Widzę ludzi jak mrówki,
budują Świat Swój w znoju,
obraz jak z widokówki,
szczęście i radość w pokoju.

Choć wszystko szybko znika,
do tyłu prędko odpływa,
widok jeden za drugim umyka,
to moja chwila szczęśliwa.

Marzenie obłokowe,
prysło wraz ze świtaniem,

podnoszę swoją głowę,
płynąłem z upodobaniem.

Sen z czarodziejskim ubraniem,
niosący mnie jak chmury,
tak pięknie jednym zdaniem,
podziwiać świat Nasz z góry.

Zamykam Swoje oczy,
fantazji ruszam korzenie,
widzę Świat jak z przeźroczy,
budzący tęsknoty tchnienie.

Świat sennych marzeń,
w odczuciu namacalny,
pragnę mieć coś z tych zdarzeń,
choć jest on nierealny.

Góry

Hej góry, góra za górą,
słońce nad wami wisi,
jak lampa świecąca purpurą,
na podwieczornym niebie, w ciszy.

Stojąc na wierzchołku patrzysz z góry,
widzisz doliny kwieciste lekko zamglone,
skała przy skale leży, a wśród nich chmury,
jak pierzyny przed nocą do spania ułożone.

Poniżej w dolinie turniowy las czarnieje złowrogo,
a opar jak duch się unosi w nawiedzonej kamienicy,
tu nieliczni potrafią poruszać się między smrekami
skalistą drogą,

By nie zgubić się w ciemności, idąc ku górskiej stancy.

Jest w tym widoku jakaś tajemnica,
która tkwi pomiędzy szczytami,
bo jest to wyjątkowa okolica,
do niej wracamy wspomnieniami.

POPATRZ NA TE WIERCHY KAJ DOLINY
JAKBYŚ PATRZAŁ NA LICO POWABNEJ DZIEW-
CZYNY.

UTWORY WYRÓŻNIONE
PRZEZ PODLASKĄ REDAKCJĘ SENIORA
W KATEGORII OGÓLNEJ, W DZIEDZINIE
PROZY

I miejsce

Dionizy Purta

(Białystok)

Prawa natury

W kosmicznej przestrzeni istnieją organizmy odtwarzające się w krótszym lub dłuższym czasie biologicznego istnienia. Wszechświat ma harmonię, ład, porządek, a cała przyroda własne prawa. Wiosna energetycznie idzie w górę. Pierwsze rośliny przebijają się przez śnieg. Lato rozpycha się na wszystkie strony, bo to energia całej ziemi. Jesień zdobytą energię kieruje do wnętrza, jakby mówiła – zabezpieczamy korony wiosny. Energia jesieni to nie tylko gromadzenie zapasów, to także odcinanie zbędnego, wysłużonego.

Przyroda jest w stanie dostarczyć nieograniczonej energii, ale musi być uporządkowana. Jesień spełnia tę rolę, by na wiosnę, było miejsca na nowe. Zima jest trudniejszą porą roku i aby ją przetrwać, człowiek nauczył się odpowiednio zabezpieczać. Po przetrwaniu zimy w promieniach wiosennego słońca kocą się rysie, kuny, tchórze, zające. Łapki ich są jeszcze zgrabiałe w strugach zimnego wiatru. Ciężki los pierwszego zajęczego pokolenia, bo czyha głód, chłód i zastępy amatorów zajęczego mięska.

Śnieg jeszcze leży, a czuć już zapach, słychać monotony, nie przerywany cichy pomruk wiosennej przyrody. W lesie zaczyna się zielenić, A kwiaty śpieszą by zakwitnąć, zanim liście zasłonią im słońce i powieje wiatr. Kwitną krzewy: leszczyna, wier-

ba, dereń, modrzewia, osiki, wiązy, a na podwórkach, rowach, odłogach i nasypach można zauważyć złote gwiazdki podbiału, a w ogródkach fiołki.

Ziemia dopiero odmarza, a śnieg jeszcze białymi płatkami zalega pola. Tysiące kielków prze do góry, wysuwając zielone skrzydełka. Na drzewach pękają nasyczone żywicą pąki i zwisają. Kwitnie czeremcha, dzika gruszka oraz graby, klony, brzozy, a w leśnym runie zakwitają: przylaszczki, zawilce, szczawiki zające, fiołki i rośliny motylkowe. Sosny w pośpiechu wysypują nasiona z szyszek a pomaga im wiatr. Mioduszka rozwinęła już kwiaty o różowych i fioletowych kielichach, a na tej samej łądze zasiał pierwszy motyl, wachluje skrzydełkami przenosząc pyłek z kwiatu na kwiat.

Z podziemnych kłączy wyrastają łądygi kwiatowe i listeczki. Byłe zdążyć, póki w lesie jeszcze widno, słonecznie i bezwietrznie. Zawilce złote złocą się w słońcu, a białe bieleją jak płaty śniegu. Łuskiewnik też wyszedł spod ziemi i wyrosły różowe łądygi pokryte łuską i uwieńczone gronem ciemnoróżowych kwiatów, kokorzycka pusta rozwinęła płatki fioletowo – purpurowe – czerwono – różowych kwiatów ze słodkim nektarem i do nich zlatują się motyle, pszczoły i trzmiele. Po zapyleniu przez owady łuskiewnik wyda nasiona, straci łądygi i znowu aż do następnej wiosny, przetrwa w swojej podziemnej kryjówce, aby dalej wieść pasożytnicze życie. Dziwna to roślina, która prawie cały rok spędza pod ziemię, czerpiąc pożywienie z korzeni drzew.

Pod niebem powietrznymi szlakami dniem i nocą, nocą i dniem ciągną gromady, klucze, trójkąty, zwarte obłoki i ciemne chmury przelotnego ptactwa. Skąd ten pośpiech? Skąd ten wzmożony szalony pęd. To gna najpilniejsza sprawa: w stałym

miejscu gniazdowania wydać potomstwo i wychowywać je w sprzyjającym czasie słonecznych wiosennych i bezwietrznych dni. Kiedy złota wilga zagwizdże, kukułka zakuka, a nocą w rozkwitłym bzie wybuchnie pieśń słowika, wtedy już wiemy, że zakwitła wiosna.

Większość gatunków ptaków rozpoczyna toki, czego następstwem jest pojawienie się na gniazdach jaj, z których wyklują się pisklęta. Różnorodność rozmiarów, barw i kształtów. Ubarwienie to nie jest przypadkowe. Stanowi ono przede wszystkim kamuflaż. Wędrując należy być ostrożnym by nie wstąpić w gniazdo i warto przyjrzeć się tym arcydziełom lęgowym.

Ewidentnie mistrzem sztuki barwienia i nakrapiania jest kukułka, która potrafi znieść „jajko falsyfikat”. Starannie dopasowane do lęgu innego ptaka, któremu podrzuca swoje jaja. Zaprzeczeniem sztuki kamuflażu są z kolei głębie, które znoszą białe jaja na wpół odkrytych gniazdach. Taką nieostrożność Matki Natury trudno wyjaśnić. Lęgi gołębi są bezkarnie rabowane przez ptaki krukowate. Pod każdym względem najbardziej znane i pożyteczne są jaja kurze. Uprzednio udekorowane trafiają na wielkanocny stół, byśmy mogli podzielić się nimi składając świąteczne życzenia. Ptaki są symbolem pokoju, raj, czystości, piękna i natury. Są pomostem pomiędzy niebiosami a ziemią. Jesteśmy zbudowani z tych samych komórek, ulepieni z tej samej gliny, co one.

Piękne, aż przepiękne, są niektóre zakątki przyrody, w których czuć oddech Boga i bożą duszę. Ta moc mistyczna przyrody tkwi w wyobraźni i to wszystko chce się poznać. Występuje potrzeba odczuwania i dociekania, skąd się wziął, co tam było, jak było. Nawiedzają myśli transcendentne idące w kierunku Boga,

kosmosu, wszechświata. Narodziliśmy się jak ziarno posiane z miłości ojca i matki, co jest może pozostałością po poprzednim życiu.

Jeśli wierzyć, że historia to dzieło przede wszystkim Boga, to wierzy się również, iż każdy koniec jest zarazem początkiem, a przyroda jest jedynym wielkim bukietem. Pośród kwiatów i drzew rzeczy i fakty nabierają innego znaczenia, przyroda dodaje energię zmęczonym i porażonym w smutku. W okresie przedwiosnia w zaraniu wiosny zwiastunem budzącego się życia na nagich bezlistnych gałązkach są kwiaty, rozwijające się jednocześnie z pierwszymi listkami.

Głos przyrody słyszy się w śpiewie przekazywanym przez pokolenia. Powstawał już, kiedy człowiek dopiero zabierał się do budowy społeczeństwa, a rytm natury wyznaczał życie. Jest jakby wołaniem do Boga, a jest to szczególnym rodzaj języka sięgający tam, gdzie nie trafia mowa. Wydobywające się z duszy i ciała przyrody jako cząstka prawdy o byciu w świecie.

To iskra, barwy, błysk w którym można przeżyć wszystkie modlitwy świata. To tradycja pieśni do jedyne Boga, błagalnych i dziękczynnych. To międzyludzka komunikacja przekazywania emocji, które dodają sił na kolejne dni.

Nie czuje się upływu czasu, a jeśli już, to wtedy gdy duchowny nawołuje do modlitwy. Wezwanie do modlitwy jest pięknym momentem. Uświadamia, że człowiek powinien nisko się pochylić przez Boską Doskonałością, bo ubodzy czy bogaci, wszyscy bez wyjątku pozostajemy w Służbie Królestwa Bożego. Zakotwiczeni w narodzinach i śmierci, młodości i starzeniu, czystości i namiętności, wierności i zdradzie, tęsknocie i ukojeniu. Muzyka pośredniczy w przekazywaniu wiary, wspólnie tworzy

modlitwę. Uwniosła, zaspokaja duchowe potrzeby, przybliża do Boga poprzez sfery sacrum, fakty, frazy, dźwięki rytmiczne, współbrzmienia połączone ze sobą w odpowiednich proporcjach dają efekt trudny do określenia słowami. Coś w tym jest, że jest to głębokie, bo się odczuwa. Być może to kwestia chwili, w której tkwi boska iskra, bo nie jest to tylko sztuka słuchania. W kontakcie z nią coś pozostaje, czasem motywy, wrażenia, innym razem niepewność, a również i pogłębiona wiara. Piękno zwycięża, bo to ono jest wartością.

Człowiek poprzez instynkt nawiązuje łączność z inną materią i korzysta z umysłu i tworzy dzieła, które wchodzą w skład otoczenia, służą ulepszaniu życia i jego piękna. Można przeżywać i opowiadać o tym co zachwyca, za czym się tęskni – co się lubi co budzi troskę i niepokój, o pięknie natury, poszukiwaniu tradycji poczuciu upływu czasu o relacji z Bogiem. Całe istniejące otoczenie to cuda i arcydzieła. Wizja uwarunkowana jest kulturą, językiem, religią, a najważniejszym celem jest życie – życie w całkowitej harmonii. Tradycja jest bogactwem, wyzwaniem i pierwszym geniuszem.

Jednym z takich cudów techniki i swego rodzaju arcydziełem były lokomotywy. Przechodzień na peronie musiał stanąć i popatrzeć na te czarodziejskie maszyny i nie jednemu marzyło się, by zajrzeć do środka. Widoczny był tylko mały fragment wnętrza gdzie było pełno zagadkowych zegarów i dźwigni. Wydawało się, że maszynista nie człowiek z tego świata. To była nadludzka istota, heros z jakiejś prawdziwej planety i mitologii. Podróźni czuli do kolei niezwykłą miłość. Cała struktura – pociąg, stacje kolejowe, dworzec – są to miejsca magiczne. Zdaje się, że tęsknimy za dawną koleją a pociągi tęsknią za

nami. Wydaje się też, że całe współczesne życie, jest jedną wielką podróżą. Cały węzeł kolejowy, to miejsce bajkowe. Czekanie w poczekalni, w barze dworcowym o północy i ten przedziwny zapach potraw, ludzkiego potu i kolejowych wyziewów, i całe to miejsce mimo swej pozornej brzydoty, było na swój sposób piękne. Wśród śpiących przypadkowych podróżnych człowiek czuł się zupełnie bezpiecznym. Wydawało się że pani z kasy czy baru, ma nad tym wszystkim jakąś absolutną władzę i nikomu nie może stać się żadna krzywda. Wszystko to najczęściej działo się w nocy, co tym bardziej dodawało tym miejscom jakiegoś metafizycznego piękna. Wydało się też, że w barze dworcowym znajduje się przejście do innych kosmicznych wymiarów tzw. tunele czasoprzestrzenne przez które wtłacza się ciepłe powietrze parujące z garnków które prowadzą gdzieś do innych światów, albo jeszcze gdzieś dalej. Bo ta podana herbata i przez siebie przyniesiona, postawiona na stoliku, a czasem i na parapecie, bo nie było miejsca bardzo smakowała. Wydawało się, że personel kuchenny i z baru, to nie istoty ludzkie, ale jacyś obcy, bo zawsze żwawi, zamyśleni, przychylni, usłużni.

Ta kuchnia to najlepszy sposób komunikowania się ze światem. Zdrowa, bo naturalna, oparta na nieprzetworzonej żywności – „tam gdzie jestem, tam jem”. Ta sztuka tworzyła swój niepowtarzalny kolorowy pachnący świat: proste i smaczne piękne smaki. Dawało to zadowolenie z życia i było najlepszą formą wypoczynku.

Żyjemy w świecie którego sprawy i mechanizmy tylko w części są poznane. Święci powiadają „A jeśli sól zwietrzeje czymże solić się będzie? Patrząc, nie widzą, słuchając nie słyszą ani nie rozumieją bo rozumieć nie chcą”. Zapomniany o spokojnym

pięknym świecie, zaczynamy kochać to, co jakby leży poza stre-
fą piękna czyli: zgiełk, krzyk, przemoc, migotanie światła, któ-
rych mózg już nie ogarnia... Zmienność jest niewątpliwie jedną
z naczelných cech świata, w dobie masowych przeobrażeń nale-
ży podwoić uwagę. Cały obszar kosmosu otacza bezmiar zjawisk
tajemnych, a wątki realne przeplatają się z legendami.

Wielki współczesny świat pleciony jest z ceowników, drutów,
plastików, dykty, folii i kolorowych farb. Wtopione są w kra-
jobraz budy, a przy tym stawiane banery, banderki, lunaparki,
wesołe miasteczka z gabinetami luster i młynem diabelskim
z wielkością zatłoczonych reklam i szyldów. Do tego świata
zakrada się zaraza katalogowych domów. Powstają bez ładu
i ginie poszanowanie historycznej urbanistyki. Regiony tracą
charakter architektoniczny i przestrzenny, przestają być atrak-
cyjne pod względem krajobrazowym. Rolę lokalnych atrakcji
przejmują, dinoparki, aquaparki, skanseny architektonicznych
miniatur, w których można zobaczyć jak było a nie jest. Wiele
miejscowości przez lata pracuje na tytuł bezguścia. Specyfika
pejzażu stawia hasło: „najpiękniejsze miejsca są jednocześnie
najbrzydsze”. Edukacja estetyczna leży i kwiczy.

Architektura ludowa nierozzerwalnie związana jest z polskim
krajobrazem i wsią. A krzyż to symbol łączący niebo z ziemią,
związany z kultem sił przyrody, a zwłaszcza słońca. Symbolizo-
wał także ogień i życie. Miał zapewniać przychylność bóstw,
szczęście, dobrobyt, płodność, sprowadzać deszcz itp. Sym-
bolem boga – Słońca stał się okrąg wypełniony promieniami,
nawiązujący kształtem do tarczy słonecznej widzialnej na niebie.
W religii chrześcijańskiej symbolizuje Ukrzyżowanie i Mękę
Chrystusa, Zmartwychwstanie, Zbawienie Świata, Odrodzenie

ludzi, pojednanie człowieka ze Stwórcą, religię jako całość. Stał się symbolem ze światem realnym – ciemność i światło, śmierć i życie. Manifestując uczucia religijne, chrześcijanie nie tylko stawiali krzyże, ale także kapliczki z dekoracją rzeźbiarską. Można jedynie pochylić czoło nad arcyzmem wiejskich artystów, którzy je tworzyli. Traktowane były jako tarcza ochronna przed wielkim złem, Wyznaczały marszruty wiejskich procesji w czasie wiosennego obrzędu święcenia pól.

Kapliczki i krzyże są to klejnoty i perły krajobrazu i prawdopodobnie pozostaną jeszcze na długo, chociaż niszczone bezpośrednio przez czas oraz bezmyślność i niefrasobliwość ludzką. Żaden kraj Europy nie może cieszyć się takim bogactwem małej architektury sakralnej. Wyrosły one z potrzeby serca, wrażliwości i poczucia piękna, w oprawie zieleni, zdobione kwiatami, zespolone z krajobrazem i stanowią jego element. A wśród pól i pagórków wyglądają jak drogie kamienie w szklanej oprawie. Stoją na straży lokalnych społeczności, przy drodze, na granicy wioski, na rozstaju dróg dla oznaczenia ważnego miejsca i wydarzenia. Stawiano je przy swoim obejściu, wieszano na pobliskim drzewie, albo wprost na ścianie domostwa. Miały chronić przed niebezpieczeństwem. Ludzie znajdują powód i odczuwają potrzebę wyrażania uczuć i wiary. Znakiem czasów współczesnych stawiane na poboczach dróg i autostrad oznaczają miejsca katastrof społecznych. Przypominają i ostrzegają o niebezpieczeństwie jakie niesie ze sobą cywilizacja.

Pomysły tych pereł rodziły się w sercach, a twórcy nadawali formy architektoniczne i wykonywali ozdoby zgodnie ze swoim wyczuciem artystycznym. Komu można było zawierzyć ból

i zmartwienie, jak nie temu, który troszczył się o cały świat bo sam znał nędzę i ból.

Kapliczki trafiały nawet pod ziemię i stanowiły element krajo-
brazu przemysłowego wielu kopalni. Ludność Europy była
nękana chorobami i epidemiami. Powstały krzyże morowe,
choleryczne, posiadają pionową belkę oraz dwie dodatkowe,
krótszą górną i nieco dłuższą dolną zwana karafką, miały mieć
cudowną moc amuletu, oraz krzyże pokutne i inne. Takiego
bogactwa nie posiada żaden naród europejski. Stanowią one
zatem wyjątkowe dobro kultury narodowej. Choć nie zawsze
piękne i ciekawe, ale dające obraz miejscowej kultury.

Wchodzący współczesny świat życia jest jakiś taki „wyprepara-
wany” a iglaki rosną na „wypreparowanym” równym trawniku
i nie śmiecą. Jest wygodnie i niby pięknie. Tylko czy rzeczywiście
pięknie.

Patrząc na ogrom wszechświata widzimy jeden absolutny czas
płynący od minus nieskończoności do plus nieskończoności.
Bóg powołał w pewnym momencie czasu świat do istnienia.
Wszechświat może być wiecznym tylko wtedy, gdy jest stateczny
i nie zapada się lub nie rozdyma pod wpływem działających
w nim sił. Nie jest raz na zawsze ustalony, obrazem, lecz dyna-
micznym procesem.

UTWORY WYRÓŻNIONE
PRZEZ PODLASKĄ REDAKCJĘ SENIORA
W KATEGORII SPECJALNEJ „WŁAŚNIE TU”
W DZIEDZINIE POEZJI

Wyróżnienie

Krystyna Gudel

(Suchowola)

Z wizytą u świętego Jana Nepomucena w Morgach

dziewczynka z naręczem
kwiatów zmierza do celu
w jej dziecięcym kroku
radość szczerą
na widok świętego
pojawia się zatroskanie
czy sięgnie do jego stóp
czy poradzi z ukwieceniem
tego miejsca

po chwili
w blasku jesiennego zachodu
kapliczka nabiera wyrazu
mieni się kolorami
dorodnych astrów

na twarzy Meli
pojawia się znak triumfu
a święty Jan Nepomucen
ma powód do radości

...

Wciąż was pełno

rodzicom

*...w sikorkach są nasi zmarli,
którzy przychodzą nas odwiedzić
i dowiedzieć się, co u nas słychać.*

E. Emmanuel-Schmitt

sikoreczki wy moje
wciąż was pełno

czy sprawdzacie
jak mi tu
może jestem zmęczona
albo czegoś mi brakuje
coś dręczy

uprzątnęłam wasze
mieszkanie
astriko lśni
pasyjka dostała
nowy blask
tekst memoratywny
położony
w waszym ogrodzie
ma się dobrze
koniczyna
i szczawik zajęczy

sikoreczki wy moje
wciąż was słyszę

czyżbyście chciały
ukraść mi ciszę
udobruchać czas żałobny
a nieobecność
otulić śpiewem i muzyką
przy akompaniamencie
deszczu

sikoreczki wy moje
mogę słuchać was jeszcze
i jeszcze

UTWORY WYRÓŻNIONE
PRZEZ PODLASKĄ REDAKCJĘ SENIORA
W KATEGORII SPECJALNEJ „WŁAŚNIE TU”
W DZIEDZINIE POEZJI

Wyróżnienie

Józefa Drozdowska
(Augustów)

Przypisek do genealogii rodziny

Pamięć to też miłość.

Tyle razy oglądałam ten album, że powinnam znać każdą przedstawioną w nim osobę. Każde sfotografowane miejsce. Bóg będzie nas kiedyś wszystkich wołał po imieniu. Należy więc o każdym pamiętać. Trzeba przeżyć tak wiele lat, jak ja, by wreszcie uświadomić to sobie dogłębnie.

Oto leży przede mną album pamięci i zapomnienia. Tę opowieść piszę o nim i o jednym ze zdjęć w nim zamieszczonym. Drewniane lakierowane na czarno okładki z szarym płóciennym grzbietem i takiegoż koloru kartami związanymi na grzbiecie wypłowiałą brązową tasiemką. Na przedniej jego okładce rodzaj płaskorzeźby. W ukośnym rombie sylwetka dostojnego kościoła. Ściany czworoboku spowite w kwiatki i gałązki jakby od niechcenia barwione gdzieś zielenią, czerwienią i brązem. Na tylnej – nie ma żadnych przedstawień. Od wewnątrz wyklejki w granatowo-stalowe mazaje. Album, delikatnie mówiąc, jest podniszczony, ale dla mnie wciąż cenny, bo rodzinny. Od kiedy zajmuję się na poważnie genealogią, współorganizuję zjazdy rodzinne, przeglądam i indeksuję księgi parafialne, nabiera jeszcze większej ważności, niż dotąd, ale z tej to przyczyny jest też raniony. Zdjęcia wklejano w nim tak „porządnie”, że chcąc

bliżej poznać tych, co na fotografiach, trzeba je teraz odrywać siłą od kart albumu, by móc przeczytać napisy na odwrotnej ich stronie. Wszyscy, włącznie ze mną, wklejając je myśleli, że pamięć jest trwała. Opowieści i daty zacierają się w niej jednak i stajemy przed zagadką, której już nie sposób rozwiązać. Tak jest i ze mną oraz z fotografią, o której chcę opowiedzieć.

Jest ona niewielkim prostokątem w kolorze sepii. Bez żadnej daty i chociażby najmniejszego opisu. Już nie ma osób, które mogłyby mi coś więcej zdradzić, niż to, co dyktują strzępki mojej pamięci. Zdjęcie, jak mniemam, wykonane zostało na kilka lat przed II wojną światową. Zapewne w zakładzie któregoś z rajgrodzkich fotografów. Nie ma na nim żadnej pieczętki moją myśl potwierdzającej. Miasteczko to leżało najbliżej miejsca, gdzie mieszkali moi przodkowie, więc z tego wnioskuje jego pochodzenie. A może zrobiono je w nieco dalszym i większym mieście Grajewie? Nie pamiętam, co mi opowiadała o nim mama, nie zanotowałam żadnych szczegółów.

Na nim Irenka, bratanica mojej mamy, jak przystało na kilkunastoletnią uczennicę rajgrodzkiej szkoły w ciemnym bereciku, spod którego wystaje równiuteńko obcięta jasna grzywka i z grzecznie ułożonymi rękami na płaszczyku niezakrywającym kolan. Wysmukłe nogi w bucikach z wyłogami opiera o krzesło, na którym siedzi. Filuterny uśmiech, który nie opuszczał jej nigdy, po latach złożony został we wspólnej mogile z jej ojcem Stanisławem, który zbyt wcześnie, tuż po wojnie, pożegnał się z życiem i spoczywa na rajgrodzkim cmentarzu nieopodal kościoła. Gdy patrzy w aparat fotografa przed nią daleka jeszcze wojna. Na szczęście nic o niej nie wie i chyba jej nie przeczuwa. Może i chciałaby mi coś podpowiedzieć, ale prze-

strzenie między nami jakże odległe teraz. Kiedy odwiedzałam ją w Grajewie schorowaną, tuż przed śmiercią, nie przyszło mi do głowy wziąć z sobą fotografii i dopytać się o jej szczegóły. Obok Irenki siedzi na zdjęciu, w jasnym kapeluszu zakrywającym całą głowę, Jadwiga – jej mama, a moja wujenka. Jedyne nad lewym uchem wyziera spod niego kosmyk ciemnych włosów. W czarnym płaszczu i takich lakierkach zapinanych na paseczek przytrzymuje na kolanach torebkę z metalowym zamknięciem. W jasnych pończochach i rękawiczkach, i z taką apaszką pod szyją oraz z subtelnym uśmiechem. Nie przypuszcza zapewne, że życie zaproponuje jej dwóch mężów, na dodatek dopowiem, że będą rodzonymi braćmi.

Za nimi stoją trzy panie. Jakże młode jeszcze. I tu moja zagadka. Imienia i nazwiska jednej z nich od lat szukam bez powodzenia. Z lewej strony to ciotka Eleonora. Jest jeszcze przed wyjazdem w lasy pod Nowogródkiem, gdzie gospodarczyła swemu bratu Józefowi na placówce leśnej, który kilka lat później został stamtąd wywieziony na Sybir. Przed małżeństwem z Konstantym Andrzejem, który tak pięknie grywał na kilku instrumentach. Stoi w białych butach wyprostowana jak struna, ubrana w jasny długi, dwurzędowy płaszcz. Z dużym jasnym kapeluszem na głowie, z mniej wykręconym rondem niż u bratowej, w dłoni trzymając, ściągniętą z niej, białą rękawiczkę. Z prawej strony najniższa z kobiet to Zofia moja mama. Szczupła, z czarnym toczkiem na ciemnych włosach, ubrana w jasny płaszcz, a może żakiet. Nie wszystko na zdjęciu dokładnie widać. Pod szyją wyłogi kołnierza spięte ma broszką w kształcie kwiatu. Podobna, lecz mniejsza ozdoba, widnieje u jej rękawiczki. W ubranej w nią dłoni trzyma czarną torebkę na krótkiej rączce.

Twarz jej jak z przedwojennych filmów, a oko jakże zadziorne. Nic nie miała później w sobie z tego wzroku. Pamiętam ją i Kocham już całkiem inną. Jeszcze panna wówczas. Narzeczonego marynarz zginął w czasie wojny. W dwa lata po niej wyjdzie za mojego ojca. Teraz jednak nic o tym jej nie wiadomo.

Pośrodku stoi pani nieco starsza od sióstr, a młodsza od ich bratowej. W białym berecie na ciemnych włosach związanych wstążką, która spada z boku na kołnierz. Pociągłej twarzy, z bardzo subtelnym uśmiechem. W jasnym ubraniu z apaszką podobnego koloru. Kim ona jest – dopytuję się siebie w myślach. Czy to mamina ciotka Józefa, siostra jej ojca, o której prawie nic nie wiem? Jedyne słyszałam w dzieciństwie jej imię i kilka czułych o niej opinii, a którą tak naprawdę odnalazłam dopiero kilka lat temu w metrykach parafialnego kościoła. Jeżeli to ona, to pięknie umiała śpiewać i była dla mamy bardzo dobra. A może to jakaś inna krewna, kuzynka czy sąsiadka? Nikt z żyjących nie umie mi pomóc rozwiązać tej zagadki.

Miłość to pamięć, powiadam wszystkim. Bóg będzie nas kiedyś wołał po imieniu. Jak się odnajdziemy w tym tłumie, nie znając swoich imion?

Oto i cała historia wysnuta ze starej fotografii. Mogłabym jeszcze dłużej snuć opowieść o niej, ale nie chcę zdradzać wszystkich historii rodzinnych. Może jeszcze przyjdzie kiedyś na to czas. A jeśli nie zdążę, jak moi przodkowie?

Wyróżnienie

Wiesław Lickiewicz

(Hajnówka)

Ślady w pamięci (fragmenty)

Medytacje i oświecenie

Coraz częściej myślę o śmierci!

- Co będzie, kiedy odejdę w nieznane?
- Co będzie z moimi bliskimi, którzy tu pozostaną?
- W jaki sposób mam ich zabezpieczyć i chronić przed złem doczesnym, ponieważ pragnę ich szczęścia ziemskiego?
- Nie wiem, nie umiem tego wyobrazić.
- Nie mieści mi się to jeszcze w głowie, ale „to” wciąż zajmuje moje myśli.
- Może jeszcze ten czas jest oddalony, jeszcze nie pora.

Samego odejścia ze świata ziemskiego nie boję się, choć wiem, że jest nieuniknione i zbliża się dużymi krokami. Na śmierć przygotowujemy się przez całe swoje życie. Nie jest to temat radosny, choć wszyscy jesteśmy przekonani, co do jego konsekwencji. Nie lubimy o tym rozmawiać. Tego tematu unikamy jak zarazy, szczególnie w wieku, że tak się wyrażę, „młodzieńczo-średnim”. Natomiast dzieci i młodzież szkolna śmierć traktuje jako coś obcego, coś, co ich wcale nie dotyczy.

Sam, będąc jeszcze uczniem klasy pierwszej lub drugiej Technikum Leśnego w Białowieży, nie rozumiałem tego zagadnienia aż do pewnego dnia.

Otóż, w okresie wakacji w 1967 roku, miałem wówczas niespełna 16 lat, obudziłem się jak zwykle dość wcześnie (taka natura) jak dla młodzieży w moim wieku i usłyszałem dochodzący z kuchni, głos dziadka. Zastanowiło mnie to, w jakiś inny niż do tej pory sposób. Dotychczas rzeczą normalną i naturalną, jak mi się wydawało, była obecność rodziców, rodzeństwa, dziadka Cyryla i innych członków mojej rodziny.

Tego poranka, coś we mnie jakby pękło. Zrobiło mi się bardzo smutno. Uzmysłowiłem sobie, że tego, tak mi bliskiego głosu, mogę w niedalekiej przyszłości już nie usłyszeć.

W mojej głowie, nastąpił jakiś przewrót, olśnienie lub jeszcze coś innego, czego nie da się nawet słowami określić. Od tej pory zrozumiałem, że jesteśmy istotami śmiertelnymi i każdy z nas, wcześniej lub później, musi odejść z tego ziemskiego świata. Myślami wróciłem też wówczas do bardzo ważnego dla mnie wydarzenia.

Niespełna dziewięć lat wcześniej (w 1958 roku) zmarła na tężec ziemny moja starsza siostra Helena. W tamtym okresie nie stosowano jeszcze tak powszechnie (lub może w ogóle), szczepień ochronnych przeciwko tej strasznej chorobie. Jej pogrzeb i całą ceremonię pogrzebową doskonale pamiętam. W listopadzie tego roku miałem ukończyć siódmy rok życia. W tamtych powojennych czasach, śmiertelność wśród dzieci i nie tylko, była bardzo wysoka.

Dopiero po kilku dniach zauważyłem jej nieobecność choć jeszcze nie do końca wierzyłem w to, że już jej nigdy nie zobaczę. Nawet po słowach mojego ojca, gdy razem z nim, jako pomocnik zabezpieczaliśmy przed zniszczeniem przez deszcz czy śnieg tego bliskiego nam miejsca – jej nagrobku. To zabez-

pieczenie, polegało na wbetonowaniu w ziemię, metalowego dużego krzyża z tabliczką, oraz na ogrodzeniu i obmurowaniu miejsca pochówku zaprawą cementową. To nasze dzieło stoi tam do dzisiaj i to wcale w niezłym stanie, choć minęło już od tego momentu, ponad 60 lat. Zakończenie tej pracy pamiętam jak dziś, z prostego powodu. Ojciec powiedział mi wtedy; „wziąłem tu ciebie synu na cmentarz, obyś zapamiętał to miejsce i rozumiał, że jesteśmy wszyscy gośćmi na tej ziemi. Twoja siostra a moja córka, opuściła już nas i nigdy do nas nie powróci. Kiedyś może spotkamy się wszyscy, ale nie my będziemy o tym decydować”.

To wydarzenie i te słowa wypowiedziane wówczas bardzo poważnym tonem zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Po pewnym jednak czasie, uległo ono spowszechnieniu jak i wiele innych spraw, które kiedyś wydawały nam się bardzo wzniosłe.

Ten stan mojej świadomości utrzymywał się przez kilka lat, aż do wcześniej wspomnianego, letniego wakacyjnego poranka. Ów pamiętny dzień, czułem się jakoś nie swój i wielokrotnie, z niepokojem spoglądałem na naszego seniora, który był już wówczas 80-letnim mężczyzną.

Na Jego ostatnią drogę oddałem Mu swój nowy szary garnitur, który się Jemu bardzo podobał. Pewnego dnia ze łzami w oczach powiedział mi o tym, i jeszcze to, że pragnie być w nim pochowany. Od tamtej chwili nie nałożyłem go już ani razu. Nawet teraz, kiedy oglądam czarno-białe fotografie i widzę na nich siebie, ubranego w ten garnitur (miałem go na sobie, tylko raz) w moich oczach pojawiają się łzy. Wspomnienia tamtych lat powracają natychmiast.

Potem zrozumiałem, że pojęcie śmierci jest czymś normalnym jak pojęcie życia, tylko jego odwrotnością.

– Życie jest delikatne i kruche.

– Śmierć jest brutalna, zwycięża nas bezpowrotnie (chyba, że wierzymy w życie pozagrobowe).

Lata dziecięce

Bardzo często jak o śmierci, myślę również o przeszłości.

Pamięć nasza jest zawodna i wybiórcza. Pamiętamy więc najczęściej, to co chcemy pamiętać lub to, co pozostawiło w naszym umyśle jakiś ślad, piętno.

Pierwszą rzeczą i wydarzeniem jakie w ogóle pamiętam z dzieciństwa jest mój drewniany koń na biegunach. Z nim związane jest właśnie to wspomnienie.

Mając 3-4 lata, bawiłem się z siostrą oraz z innymi dziećmi tym drewnianym koniem, otrzymanym w prezencie od mojego ojca chrzestnego. Zabawa przednia, dzieci gromadka a koń jeden. Każdy z nas chciał go ujeźdzać jak najdłużej. Awantura wisiała w powietrzu. Z początku bawiliśmy się na trawiastym podwórku a potem, tylko z nam wiadomej przyczyny, znaleźliśmy się wraz z koniem oczywiście, na szutrowej, przebiegającej tuż obok jezdni. W pewnym momencie, w tumanach piaskowego kurzu, pojawił się przed nami ciężarowy samochód. Na szczęście dzieci zdążyły uciec. Do dzisiaj nie wiem jak uniknęliśmy śmierci. Koń niestety pozostał na jezdni. Po chwili rozległ się tylko suchy trzask drewna i warkot oddalającego się samochodu marki „Lublin”. Dokoła zaległa cisza jak makiem zasiał. Po opadnięciu kurzu, zobaczyliśmy tylko to, co po koniu pozostało, a więc małą stertę połamanych, kolorowych deseczek. To wyda-

rzenie utkwiło w mej pamięci do dnia dzisiejszego i wspominam je z wielkim sentymentem (...).

Gdy miałem pięć lat, rodzice postanowili zmienić miejsce zamieszkania. Z Olecka, gdzie się urodziłem i mieszkaliśmy dotychczas, postanowili przenieść się na tzw. kolonię (gospodarstwo rolne pozostawione przez Niemców) położone jednak w sporej odległości od najbliższej wsi – Borawskie, powiat Olecko. Mieszkaliśmy tam co prawda krótko, bo tylko przez zimę, ale zapamiętałem to miejsce z pewnej, nieprzyjemnej w skutkach przygody. Po długich opadach śniegu i ponurych szarych dniach, nastąpiła zmiana pogody na mroźną i słoneczną. Tu muszę wspomnieć, że nasza rodzina w międzyczasie, powiększyła się o młodszą o 3 lata siostrzyczkę Krystynę. Mama zajęta wieloma obowiązkami, najmłodszą pociechę oddawała mi i starszej Helenie często pod kuratelę. Tak było i tym razem. W tamtych czasach, opieka nad młodszym rodzeństwem nie była niczym nadzwyczajnym, wręcz obowiązkiem starszego rodzeństwa (...).

Tuż za rzeką była duża góra, porośnięta drzewami, wśród których widniał zakopany, prawie nowy jeszcze, sporych rozmiarów krzyż. Później dowiedziałem się, że swoją siedzibę mieli tam partyzanci, których obecnie nazywa się, Żołnierzami Wyklętymi. Oni to właśnie, przez pewien czas byli postrachem całej okolicy i ich mieszkańców ponieważ nocami plądrowali im gospodarstwa. Ten krzyż został postawiony przez wiernych po likwidacji tego oddziału przez wojsko i UB (...).

Muszę jednak jeszcze wspomnieć o jednej historii, związanej również z moim dziadkiem. Nie dawała ona mi przez pewien czas spokoju i dlatego zapewne, pamiętam ją do dzisiaj. Otóż, pewnego letniego dnia, zastałem naszego seniora, siedzącego na

ławce przy płocie od strony ulicy. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ponieważ przesiadywał na niej często, ale po przywitaniu się, zauważyłem że płacze i dyskretnie wyciera chusteczką łzy. Zdziwiłem się bardzo, bo ten starszy już mężczyzna, zawsze uchodził za twardziela. Przez wiele lat przebywał na Syberii, gdzie miał się różnych prac. Był m.in. budowniczym kolei transsyberyjskiej, poszukiwaczem złota, drwalem w tajdze, a nawet marynarzem na japońskim statku. Z niejednego więc pieca jadł chleb a tu proszę, pochlipuje jak dziecko. Zaniepokojony więc, zapytałem o powód tego zachowania (czy coś Go boli?, może czegoś potrzebuje?) wtedy dziadek zaprzeczył i z wyrzutem w głosie odpowiedział, że chce po prostu umrzeć! „Czuje się już nieprzydatny do niczego i nie jest nikomu już potrzebny, a uparty Bóg, nie chce Go jeszcze do siebie zabrać”. Po pewnym czasie uspokoił się. Poprosił mnie tylko o dyskrecję i żebym o tym incydencie nikomu nie wspominał. Ten temat uznaliśmy więc za zamknięty. Od tego momentu, dziadek żył jeszcze, około trzech lat. Zmarł 15 grudnia 1972 roku w wieku 84 lat.

„PAMIĘĆ O RODZINIE, JEST RZECZĄ ŚWIĘTĄ”.

Hajnówka 2019 rok

Nagrodę Specjalną Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku otrzymała Jolanta Maria Dzienis z Białegostoku.

Nagrodę specjalną Polskiego Radia Białystok otrzymała Jadwiga Zgłiszewska z Białegostoku.

SKŁAD KAPITUŁY KONKURSOWEJ

Dorota Sokołowska

przewodnicząca Kapituły Konkursowej, dziennikarka Radia Białystok i autorka książek.

Justyna Sawczuk

rzecznik prasowy Książnicy Podlaskiej, redaktor naczelna nieregularnika „Epea. pismo literackie”.

Eligiusz Buczyński

kierownik Działu Zbiorów Specjalnych Książnicy Podlaskiej, poeta, wielbiciel poezji.

Bożena Bednarek

Stowarzyszenie Szukamy Polski, redaktor naczelna portalu podlaskisenior.pl

Jolanta Falkowska,

Podlaska Redakcji Seniora, sekretarz kapituły.

Spis treści

Utwory nagrodzone w kategorii ogólnej w dziedzinie poezji	5
Cezary Kadzewicz (I miejsce)	
<i>Epilog</i>	7
Jolanta Maria Dzieńis (II miejsce)	
<i>Majowe Filippi</i>	11
Elżbieta Kasperek (III miejsce)	
<i>Kobiety</i>	13
Utwory nagrodzone w kategorii ogólnej w dziedzinie prozy	15
Janina Jakoniuk (I miejsce)	
<i>Niespodzianka</i>	17
Krzysztof Broda (II miejsce)	
<i>Codziennosc</i>	27
<i>Strych</i>	32
Jadwiga Zgliszewska (III miejsce)	
<i>Kukulka</i>	39

Utwory nagrodzone w kategorii specjalnej „Właśnie tu” w dziedzinie poezji	47
Jolanta Maria Dzienis (I miejsce)	
<i>A ta moja ziemia...</i>	49
<i>Targ w Tykocinie</i>	50
Marek Górynowicz (II miejsce)	
<i>Dawidowicze</i>	53
<i>Supraśl</i>	54
Bożena Klimaszewska (III miejsce)	
<i>Szymborskiej</i>	55
<i>Historia zwykłych ludzi</i>	56
Utwory nagrodzone w kategorii specjalnej „Właśnie tu” w dziedzinie prozy	57
Halinka Bohuta-Stapel (I miejsce)	
<i>Raport z wojenki ludzko-ludzkiej</i>	59
Agnieszka Ruczaj (II miejsce)	
<i>18 grudnia roku Pańskiego 2019</i>	67
Regina Świtoń (III miejsce)	
<i>Nad „Błękitną Tonią”</i>	71
Utwory wyróżnione przez Podlaską Redakcję Seniora w kategorii ogólnej, w dziedzinie poezji	77
Bogusława Wierzbicka (Wyróżnienie)	
<i>Trwam</i>	79
Irena Słomińska (Wyróżnienie)	
<i>Klucz</i>	81
Mieczysław Borys (Wyróżnienie)	
<i>Czym człowiek jest</i>	83

Marek Krysiewicz (Wyróżnienie)	
<i>Obłokomania</i>	87
<i>Góry</i>	88
Utwory wyróżnione przez Podlaską Redakcję Seniora w kategorii ogólnej, w dziedzinie prozy	91
Dionizy Purta (I miejsce)	
<i>Prawa natury</i>	93
Utwory wyróżnione przez Podlaską Redakcję Seniora w kategorii specjalnej „Właśnie tu” w dziedzinie poezji	103
Krystyna Gudel (Wyróżnienie)	
<i>Z wizytą u świętego Jana Nepomucena w Morgach</i>	105
<i>Wciąż was pełno</i>	106
Utwory wyróżnione przez Podlaską Redakcję Seniora w kategorii specjalnej „Właśnie tu” w dziedzinie prozy	109
Józefa Drozdowska (Wyróżnienie)	
<i>Przypisek do genealogii rodziny</i>	111
Wiesław Lickiewicz (Wyróżnienie)	
<i>Ślady w pamięci (fragmenty)</i>	115